Nr 18 (1581). Warszawa, 6 maja 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Socjalizm i postęp.

Kto ma pojęcie o powszechnym u nas przeroście czynników zachowawczych, kto rozumie głębokie przyczyny tego zjawiska, ten nie będzie się czuł zaskoczonym niewątpliwym faktem, że postęp nie jest w Polsce popularny.

Ale nie jest on popularny również i wśród socjalistów; przypomniał nam o tym publicysta *Nowego Życia.*

Tym chętniej zajmiemy się rozważaniem tego odkrycia, że w parze z niepopularnością postępu na skrajnej lewicy idzie rosnąca popularność socjalizmu w sferach klerykalnych, co ujawnia się w sposób widoczny na szpaltach urzędowych organów zakrystji.

Dyplomaci kościelni, obdarzeni węchem niepoślednim, nie czekając nawet na wynurzenia *Nowego Życia*, dostrzegli i ocenili stosownie nałogową niechęć i animozję przywódców skrajnej lewicy względem idei postępowych i wolnomyślnych.

Tę niechęć, która bynajmniej nie wypływa ze świadomej i celowej metody, lecz jest wynikiem bezmyślnej licytacji haseł i skutkiem nałogów demagogicznych, publicysta *Nowego Życia* usiłuje postawić na gruncie objektywnym.

Dwa są — powiada — rodzaje postępu: liberalny i społeczno-reformatorski. Oba nie mają żadnej w tym kraju wartości: na rozwój haseł liberalnych już u nas zapóźno, a na radykalizm — *zawcześnie.*

W obliczu wszystkich obozów reakcji zostaje za.ym „stronnictwo robotnicze” i własnymi tylko siłami winno wypełnić tę olbrzymią lukę, jaka nas dzieli od normy dzisiejszej kultury.

„Stronnictwo robotnicze?” Pomijając już całą rażącą niestosowność zwalania na barki proletarjatu ogromu rozległych zadań, do których nigdzie jeszcze na świecie nie dorasta — czy może być u nas mowa o „stronnictwie robotniczym”, traktowanym jako zwarta i harmonijna całość?

W jednym z poprzednich numerów streściliśmy krótko soczysty i obfity repertuar oskarżeń i wyzwisk, rzucanych sobie wzajemnie na głowy przez prowodyrów różnych „partji” i „frakcji”; z tonu urzędowych pism skrajnej lewicy każdy może wnioskować, że prądy i kierunki, mianem tym objęte, daleko silniejsze i zapamiętalsze ciosy wymierzają sobie, niźli „ginącemu światu”.

I nie jest to bynajmniej epizodyczny jakiś stan rzeczy, wywołany starciem różnych indywidualności; przeciwnie — cecha to stała, chroniczna, która sprawia, że skrajna lewica, spękana od góry do dołu na skłócone i rozżarte na siebie fragmenty, o wiele większą zdradza gotowość do wzajemnych „pogromów”, niż do wprowadzenia nowego ustroju.

Są i wśród postępowców różne prądy, ale zgoła odmiennej natury. Publicysta *Nowego Życia* ujawnił z nich dwa, zasadnicze; podział ten istnieje rzeczywiście i jest on właśnie dowodem żywotności postępu i rękojmią dalszych jego tryumfów. Pierwsi zresztą zwróciliśmy uwagę naszej opinji na rozwój nowych *radykalnych* metod w odróżnieniu od postępu starej daty.

Przedstawiciele skrajnej lewicy, trzymając się oburącz manifestu Marksa, nie chcieli o tym słyszeć; obecnie, jak widać, urzędowi nawet egzegeci nauczyli się rozróżniać koncepcje liberalne i „społeczno-reformatorskie”, co *notabene* wywraca cały gmach prawowiernego marksizmu, oparty na krytyce ekonomji politycznej dawnego typu. Bo gdy się nareszcie okaza-

ło, że radykalizm jest „bezpośrednim zaprzeczeniem tamtego kierunku", tedy cała dotychczasowa talmudtora naszych socjalistów iść może na „szmelc".

* * *

Pomijając ten niespodziewany dla siebie wynik swoich rozumowań, publicysta *Nowego Życia* wróży postępowi polskiemu ponurą przyszłość. Jak już wiadomo, na liberalizm u nas zapóźno (nikt temu nie przeczy), a na radykalizm — zawcześnie. Zawcześnie „dla wielu powodów, związanych z konkretną sytuacją społeczną i polityczną naszego kraju". Mieszczaństwo, odsunięte od najmniejszego udziału w rządach, stało się nieodpowiedzialnym i przywykło do tej roli. Istnieje przeto ugoda i neo-ugoda, jako normalny stan myśli mieszczańskiej, lecz niema miejsca „na silne stronnictwo radykalno-postępowe w wielkim zachodnio-europejskim stylu".

Tak mówią głosiciele „nowego życia".

Przedewszystkim zauważyć się godzi, że jeśli organizacja polityczna sił postępowych natrafia tu na nieprzezwyciężone trudności dla powodów wyżej wzmiankowanych, to i socjalizm również nie marzy o stworzeniu stronnictwa „w wielkim zachodnio-europejskim stylu". A przecież go to nie zraża.

— Tak — odpowie publicysta *Nowego Życia* — ale my jesteśmy stronnictwem przyszłości!

My jesteśmy nim również.

Tylko, że to, co skrajna lewica uważa dla siebie za wartość dodatnią, wytyka się nam, jako zarzut.

Na radykalizm pono jest u nas „zawcześnie". A na socjalizm?

Dziwna zaiste logika. Zdobywa się na nią ten właśnie nastrój (bo nastrojem jest cały nasz „socjalizm"), który lekceważy sobie teraźniejszość i oczyma zawisł na obłokach...; który jest, jako człowiek, stojący przed gmachem współczesnego życia, w oczekiwaniu, aż burżuazyjna winda dźwignie go na najwyższe piętro, gdzie dopiero wypatrywać może na niebie mleczne swoje drogi.

To też motyw: „zawcześnie" z tych stron rzucony śmieszne posiada brzmienie. Jakkolwiek nierychło pozwolą nasze warunki na postęp w „wielkim zachodnio-europejskim stylu", to chyba nikt nie wątpi, że nastąpi to jeszcze przed... końcem tego świata i erą „nowego życia".

Tymczasem, chcąc nie chcąc, muszą najniecierpliwsi nawet wizjonerzy stosować się do nas, bo jeśli oni stanowią (?) o losach dalszej przyszłości, zato do nas, bez najmniejszego wątpienia, należy przyszłość bliższa.

Ten pewnik byłby i dla skrajnej lewicy oczywisty, gdyby mogła się ona zdobyć na rozumowane i ścisłe metody, zamiast czerwonych nastrojów i mglistych majaczeń.

Lecz skrajna lewica nie chce liczyć się z postępem dlatego jeszcze, że nie stanowi on „siły".

Rzecz szczególna! Niema chyba na świecie bezwzględniejszych, bardziej fanatycznych czcicieli „siły", jak te właśnie sfery, z którymi „siła" obchodzi się tak po macoszemu...

Ale zapewnić możemy owych szczególnych „ideowców" że i w postępie jest siła, siła niezmożona, mimo rażące pozory słabości.

Polega ona na tym, że postęp jest *nieunikniony*, a drogi, jakimi kroczy, niechybne.

Wyobraźmy sobie na chwilę że to, co się u nas zowie socjalizmem, w blizkiej przyszłości zwycięży; bez niczyjej pomocy, wbrew znienawidzonej i wyklętej burżuazji, zgniecie i ujarzmi wszystkie moce ciemności. Co wówczas?

Oto zwycięska skrajna lewica, nie posiadając ani doświadczenia, ani tradycji, ani techniki twórczej, sięgnie do arsenału *postępu* i zastosuje jego wypróbowane na Zachodzie środki i metody, bo świat dotąd nie zdobył się na nowy, doskonalszy aparat.

Wstrząsy i represje mogą nami targać w tę lub ową stronę; mogą ewolucję naszą opóźniać lub przyspieszać, ale dokąd żyjemy, dokąd podlegamy prawom socjologicznym — postęp zawsze będzie linią wypadkową naszego rozwoju.

Może on być niepopularny, może przyćmione i nikłe słać promienie — ale świecić będzie.

I jeszcze jedna uwaga.

Nowe Życie ma nam widocznie za złe, że nie będąc stronnictwem „w wielkim zachodnio-europejskim stylu", kładziemy znaczny i świadomy nacisk na *pracę oświatowo-kulturalną.*

Dla przywódców skrajnej lewicy jest to widocznie rzecz błaha, ot! niewinna rozrywka.

My zaś jesteśmy zdania, że krzewienie kultury winni wziąć na siebie nietylko postępowcy, ale wszystkie grupy i zespoły, obdarzone pozytywnym instynktem twórczym, niechcące poddać się wymuszonej bierności i apatji, zarazem stroniące od widzeń apokaliptycznych, niezdrowych snów o potędze, a nadewszystko od zgiełku śmiesznego samochwalstwa, którym skrajna lewica zagłusza wewnętrzne swoje rozterki i rosnące głosy krytycyzmu.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Kwestja marokańska znowu komplikuje się w sposób nieprzewidziany. Dopóki Mulaj-Hafid kruszył kopje z Abdul-Azisem i uśmierzał krwawo jego stronników — rząd niemiecki darzył go swoją opieką i nie szczędził zachęty. Lecz odwróciły się karty; liczne plemiona Beduinów, pod wodzą fanatycznych szeików i mułłów, wypowiedziały wojnę sułtanowi, jako przyjacielowi niewiernych; dziś Mulaj-Hafid oblężony w stołecznym mieście Fez razem z misją wojskową francuską wypatruje tęsknie odsieczy od strony Paryża — on, który był niedawno „niemieckim figurantem!"

Jakoż wojska Rzeczypospolitej, pod dowództwem majora Brémonda, śpieszą na pomoc zagrożonym rodakom, ale w miarę zbliżania się tej wyprawy do Fezu zgęszcza się na niebie Europy chmura wojenna i spojrzenia berlińskich dyplomatów miotać poczynają groźne błyskawice.

Polityka niemiecka postanowiła niedopuścić za żadną cenę do protektoratu Francji nad Marokiem, ani tym mniej do faktycznej okupacji tego kraju; nie zawahała się też w r. 1905 zawiesić spokoju świata na cienkim włosku i rzucić na szalę miecz teutoński, jak ongi rzucił Brennus na Kapitolu miecz gallijski...

Tymczasem jednak stan rzeczy układa się w ten sposób, że Francja, mimo całej swej niedwuznacznej chęci szanowania traktatu z Algeciras, musi brnąć coraz głębiej ku zaborowi rozległego kraju, w którym wichrzy ciągła anarchja, i nieliczne jej straże znajdują się wciąż w niebezpieczeństwie życia i mienia. Więc choć z ociąganiem i bardzo oględnie, jednak zmuszonym się widzi rząd paryski czynić porządek w Maroku, wzmacniając coraz swoje załogi i posuwając je w głąb kraju.

A z Berlina i Wiednia śledzą każde ich poruszenie oczy chmurne i czujne.

Rząd niemiecki postanowił, jak widać, jąć się znów wypróbowanego tylokrotnie środka terroru i żadnych tłómaczeń francuskich, żadnych powoływań się na „siłę wyższą" nie uwzględniać.

Świadczy o tym oficjalna nota *Nordd. Allg. Ztg.*, komentująca w ten sposób wieści o posuwaniu się majora Brémonda w stronę Fezu:

„Naruszenie jednego z zasadniczych postulatów aktu w Algeciras, nawet gdyby ono powstało wskutek zbiegu okoliczności zewnętrznych i przeciwnych woli mocarstwa, któreby działało w ten sposób, dałoby wszystkim innym mocarstwom wszelką swobodę działania i mogło by mieć następstwa, których w tej chwili przewidzieć niepodobna".

W tym nieprzejednanym a nawet zaczepnym stanowisku nietyle zdaje się odgrywać rolę chęć otrzymania kompensat realnych na brzegu afrykańskim, ile zamiar niedopuszczenia do dalszej ekspansji francuskiej na kontynencie, gdzie Algier i Tunis tworzą już rozległą i kwitnącą kolonię. Istotnie, gdyby Francji powiodło się wciągnąć Marokko w orbitę swego wpływu, gdyby 20 miljonową ludność tego kraju, żyjącą w najbardziej prymitywnych warunkach grabieży i gwałtów, wcielić w kadry jakiej takiej kultury i ładu — stałaby się Francja groźnym imperjum kolonialnym, skupiającym w jednej masie prawie 100 miljonów ludzi, co spowodować by mogło podźwignięcie jej potęgi militarnej do nieznanych nigdy wyżyn.

Być może nawet, że takie drogi toruje Francji ambitny, skryty i niebezpieczny polityk, Teofil Delcassé; być może, że powiadomiony jest o tym rząd wielkobrytański; w każdym razie nadmierna czujność i bojowe pogotowie Niemiec pozwala przypuszczać, że w grę wchodzi tu nie wypadek, nie szczegół, lecz odpowiednio wysoka stawka.

Dusza ludu.

Zwyczaj idealizowania chłopa polskiego zakorzenił się w prasie naszej, szczególniej zaś w lewicowej. Nie miałbym nic przeciw tym hymnom pochwalnym, do niedawna zresztą niedostępnym dla przedmiotu owacji, gdyby nie fakt z którym dziś poważnie się liczyć trzeba, że chłop, czytając, zaczął z książki i gazety urabiać sobie na swój użytek pojęcie o samym sobie i swym najbliższym otoczeniu.

Najtrudniej poznać samego siebie, a stokroć już łatwiej i przyjemniej na kredyt zawierzyć o sobie drukowanej opinji.

I rzecz dziwna, ludzie ci nieraz wyjątkowo zdolni, z których olbrzymia większość samouctwem nabyła spory zapas wiedzy, ludzie ci w stosunku do samych siebie i do otoczenia zatracają krytycyzm i ten, tak cenny, zdrowy, chłopski rozum, i manierują się przerażająco szybko w zetknięciu z inteligencją zawodową miejską, nawiasem mówiąc jedyną, która bez uprzedzeń stanowych zbliża się do chłopa.

Czytając nasze pisma ludowe, w których przeważają często głosy prawdziwie wybitnych naszych włościan, odnosi się wrażenie, że gdyby pewnego pięknego poranku księża i dwory zaprzestały przeciwdziałać owocnej pracy reformatorów w sukmanie i bez niej, to kraj nasz w najbliższej przyszłości zamieniłby się w istny raj ziemski.

Tymczasem, nie lekceważąc sobie bynajmniej szkodliwego dla wszelkiej kultury i postępu oddziaływania kleru, apatji naszej szlachty i wrodzonej u niej do samodzielności ludowej niechęci, nie można się oprzeć wrażeniu, że przynajmniej przez czas dłuższy niewiele by się, nawet przy takich warunkach, na wsi polskiej zmieniło.

Przyczyna tego leży głębiej, jakby się zdawało. Szybkiej ewolucji wsi polskiej na drodze kultury i postępu stoi na przeszkodzie sama psychika chłopa, jego wybujała, anarchistyczna indywidualność.

Do wszelkich poczynań kulturalno - społecznych nieodzowna jest praca zorganizowana, praca zbiorowa, której zasadniczym warunkiem jest podporządkowanie interesów jednostki interesom ogółu.

Tego pierwiastku w narodzie polskim, we wszystkich jego warstwach, nie spotyka się często, rdzeń narodu, lud wiejski, jest też w wysokim stopniu na tym punkcie upośledzony. Prawda, nikt go w tym względzie nie kształcił. Jak się celowo, zbiorowo pracuje—nie pokazała mu zrywająca sejmiki szlachta; nie widząc przykładów gromadnej planowej akcji, urastał chłop na zagorzałego indywidualistę.

Dopomógł mu w tym kierunkn i specyficzny, fałszywy, komisarski liberalizm, szanujący z pietyzmem, godnym lepszej sprawy, wszelkie dziwolągi serwitutowe, dający możności jednemu chłopinie szachowania całej wsi w jej najżywotniejszych gospodarczych interesach.

Czy wodę wspólnie z łąk odprowadzić, czy znieść szachownicę, czy most naprawić, czy pobudować szkołę, znajdzie się zawsze nieustraszony „Reytan" ciemnoty w postaci baby, kładącej się na łańcuchu jeometry, lub chłopskiego rezonera, utrzymującego dobrodusznie, że „bez tych wszystkich nadzwyczajnych wymysłów" żyli i marli nasi ojcowie.

Jak żyli, jak marli, tego nie dodaje dla ścisłości, zresztą nikt o to nie pyta, bo rzecz dziwna: im słabsza inteligencja przygodnego oponenta i głupsze wnioski wysnuwa, tym większy posłuch znajduje u słuchaczów. A są i oponenci zawodowi cieszący się opinią mądrali na całą nieraz parafię. Nie tym znakomici, co zdziałali, ale tym, czemu przeszkodzili, czemu skutecznie zapobiegli.

Nie tylko więc fanatyzm księdza, nietylko niechęć i apatja obywatela jest zaporą na drodze rozwoju chłopa, ale również jego własna, nawskroś konserwatywna, aspołeczna natura!

Ją, tę duszę chłopską, skąpać w promieniach oświaty, przetopić w ogniu czynów, odskrobać z pod pokładów egoizmu i zmaterjalizowania, a nie będzie wtedy siły, ni księżej, ni innej, która by się przed tą potęgą zorganizowanej, świadomej masy chłopskiej nie cofnęła.

Na wyplenianie w sobie i u współbraci tych zgubnych pierwiastków duszy polskiej, duszy chłopskiej, winni w pierwszym względzie zwrócić najbaczniejszą uwagę nasi włościanie społecznicy i choć ich garstka nikła w porównaniu z morzem chłopskim, nie powinni ustawać w pracy uspołeczniającej, nie powinni też zatracać samokrytycyzmu i, manierując się na modłę pseudointeligientów, odosobniać się od masy włościańskiej stwarzając coś, jakby odrębny stan chłopów inteligentów. Bowiem i wpływ ich na otoczeuie, podrywany z zewnątrz, zredukuje się do zera i tak obiecujący posiew nie wyda spodziewanego plonu.

Nie należy wątpić, że istynkt samozachowawczy, zdrowy rozsądek, wskaże naszym działaczom właściwą drogą do rozbudzenia mas szerokich ludu polskiego.

M. W.

Listy z Krakowa.

III.

Uniwersytety ludowe. Wykłady dopełniające. Odczyty.

Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, znany czytelnikom *Prawdy* z kilkakrotnych wzmianek, zakończył w d. 1 kwietnia zimową kampanję wykładów publicznych. Odbyło się ich 153, z frekwencją 17,950 osób.

W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba przeciętna słuchaczów wykazuje maleńki postęp, a wzorowa skupiona uwaga audytorjum towarzyszy stale wywodom prelegientów. Przy cyklach nawet 10-godzinnych zbierało się stałe audytorjum koło 100 osób, przeważnie ludzi młodych płci obojej. Naturalnie najwięcej pociągają wykłady z literatury, przeplatane deklamacją, lub przyrodnicze, czy historyczne ilustrowane obrazami świetlnymi.

To stałe, towarzyszące instytucji przez całe 12 lat jej istnienia, powodzenie, przypisać należy starannemu doborowi tematów. Są one nietylke aktualne, podawane przez bardzo dobre siły naukowe i umiejętnie popularyzowane, ale i układane według z góry zakreślonego programu. Wykłady pojedyńcze należą do wyjątków, przeważnie są to cykle od 3 — 10 wykładów. W roku bieżącym szereg prelegentów omawiał wiek XIX, w roku zeszłym takież same cykle zobrazowały wiek XVIII. To oświetlanie całych epok w zakresie literatury, historji politycznej, rozwoju ekonomicznego, ideologji społecznej, historji rozwoju pojedyńczych nauk, zrywając z szablonem szkolnym, wprowadza słuchaczów do właściwej kuźni cywilizacji danego okresu, daje im obraz zagadnień najważniejszych, jakie się w nim rozegrywały i dążeń ludzkości współczesnej, czy minionej.

Robotnicy na wykłady publiczne przychodzić nie lubią. Idziemy przeto do ich stowarzyszeń, na przedmieścia, a nawet do fabryk. W ostatnich miesiącach rozpoczęły się wykłady w rządowej fabryce cygar, jednej z największych w Krakowie, zatrudnia bowiem koło 1,000 osób, przeważnie kobiet. Pozwolenie uzyskać trzeba było aż w Wiedniu gdzie jest zarząd centralny. Fabryka użycza obiadowej sali, audytorjum zaś koło 300 osób przychodzi wprost z roboty o godzinie 6-ej.

Działalność uniwersytetu ludowego nie ogranicza się wykładami. Rojno i ludno aż do 9 wieczór w ciasnym i niewygodnym lokalu: czytelnia pism, wypożyczalnia książek, archiwum, szkoła wieczorna ściągają codziennie koło 100 osób, a pracowników ofiarnych, którzy darmo lub za nizką opłatą rzucają w rozmaitej formie ziarna oświaty, nigdy nie braknie. Bardzo czynnym jest grupujący się przy uniwersytecie ludowym oddział młodzieży uniwersyteckiej. Należą do niego tylko czynni pracownicy oświatowi. Oddział ten zajmuje się biblioteczkami wędrownymi, rozsyłanymi po przedmieściach i miasteczkach, prowadzi ankietę nad położeniem młodocianych robotników w Krakowie, wypełnia drobne a mozolne prace administracyjne, które przy tak wielkiej maszynie, jaką jest dziś już nasza instytucja, wymagałyby licznych płatnych urzędników (takich jest tylko 5 osób), utrzymuje archiwum społeczne i t. d.

Ostatnią zdobyczą oświatową jest założone w jednej z gmin do Krakowa przyłączonych, na Dębnikach, Ognisko oświatowe z biblioteką, wykładami dla dzieci i dorosłych, które rozrasta się do znaczenia prawdziwego settlementu angielskiego. Dotąd korzystają z niego przeważnie dzieci, ale już nieraz dzieci pociągały za sobą matki i ojców, którzy w takim ognisku znajdują dopełnienie domu i łącznik z cywilizacją.

Na czele uniwersytetu ludowego stoją profesorowie uniwersytetu Grzybowski i Brunner, duszą jego prawdziwą jest niezmordowana pracownica p. Helena Radlińska, wykładają w znacznej liczbie docenci wszechnicy Jag., gromadzi się dokoła niego naukowo pracująca radykalna inteligencja. Osoby kierowników i pracowników powinny przeto dawać gwarancję, że uniwersytet ten jest środowiskiem objektywnej wiedzy i że chodzi w nim tylko o oświatę mas. Pomimo to ani kraj, ani rząd nie dają dotąd stowarzyszeniu subwencji, a nawet szczupła kwota 1,300 koron rocznie, jaką udziela miasto, jest stale przedmiotem napaści ze strony radców do konserwatywnego należących obozu.

Zamiłowanie dla sprawy i ofiarna praca znaczą snać jednak więcej, niż obfite zasiłki. Oto t. zw. Krakowskie Wykłady powszechne (Uniwersity extension) kierowane przez sfery uniwersyteckie, subwencjonowane od lat ośmiu, pomimo firmy ściśle naukowej, którą się szczycą, dostępu do sal szkolnych, jakiego uniwersytetowi ludowemu się odmawia, doboru prelegentów i zajmujących tematów—wegetują i gromadzą po kilkanaście, czy kilkadziesiąt osób. Liczby wykładów, ani słuchaczów podać nie mogę, bo sprawozdań rocznych nie ma. Audytorjum tu dużo bardziej eleganckie, światowe damy i panowie, którzy gromadzili się w pierwszych latach, a dziś pragną się zabawić w inny sposób. Ludu wykłady powszechne nie pociągnęły, bo niema w programach systemu, są one raczej inteligentną zabawą, niż poważnym szerzeniem wiedzy.

W początkach bieżącego miesiąca odbywał się w Krakowie kurs uzupełniający dla nauczycieli szkół średnich filologów, pod hasłem odradzającego się humanizmu. Takie tygodniowe kursa wygłaszane co dwa lata w Krakowie lub we Lwowie z zakresu nauk przyrodniczych lub humanistycznych, dają sposobność nauczycielstwu z miast prowincjonalnych i z samych stolic, od postępów nauki odbiegającemu z powodu prac codziennych, do śledzenia za jej rozwojem. Nauczycieli zebrało się koło 100, ażeby wysłuchać wykładów o językoznawstwie porównawczym, filologji polskiej, francuskiej, angielskiej, niemieckiej, historji filozofji, archeologji, filologji klasycznej, pedagogiki i higjenie szkolnej.

Wspomnieć również muszę o zajmującym i udatnym cyklu kilkunastu wykładów z zakresu filozofji polskiej, w którym koło filozofów pod kierunkiem prof. Straszewskiego, zobrazować się starało nasz tak mało znany dorobek filozoficzny. Do tematów wciągnięto również poglądy filozoficzne Towiańskiego, Mickiewicza i Krasińskiego i te najliczniejszą sprowadziły publiczność.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

O kwestji flamandzkiej uwag kilka.

(Dokończenie).

Nie będę wskazywał dalszych etapów rozwoju ruchu flamandzkiego w Belgji Niepodległej. Powiem tylko że idea Willemsa — ojca ruchu flamandzkiego— zaczyna tryumfować i krąg jej zwolenników się rozszerza. Streszczam ją w kilku słowach: „wzmocnienie nacjonalizmu w dziedzinie idei przez wskazanie narodowi Potęgi i Mocy posiadanej w przeszłości". W roku 1869 de Maere poseł do izby wyższej z Gandawy, robiąc porównania rozwoju kulturalno-ekonomicznego obydwóch krajów (Wallonji i Flandrji) konstatuje olbrzymi wpływ oświaty na zmniejszenie ilości zbrodni w Walonji.

Z przemówienia jego wypływa, iż oświata w drugiej połowie kraju t. j. we Flandrji była zaniedbaną.

Reasumując swoje przemówienie, de Macre stwierdza, iż dziś kwestja flamandzka nie jest ani literacką, ani polityczną — ale kwestją socjalną. W 1883 następuje nareszcie druga reforma szkolna. Ruch flamandzki liczebnie coraz bardziej wzrasta. Na czele jego w najrozmaitszych etapach rozwoju stoją: Willems, Van Beers, Dawid, Ledeganck, Consience i A. Snieders. Dotąd zapoznaliśmy się z dwoma etapami rozwoju ruchu flamandzkiego. Pierwszy, to cały okres od początku historji kraju do panowania Wilhelma I, w którym ruch ten istnieje w postaci walki o język, kulturę lub literaturę (w XVII wieku), drugi od 1830 r., kiedy J. T. Willems nadaje ruchowi kulturalno literackiemu charakter ruchu politycznego. Więc jako taki, istnieje on przeszło 75 lat.

* * *

Obecnie toczy się w Belgji zażarta walka o tak zwaną flamandyzację uniwersytetu w Gandawie. Jak wiadomo Belgja posiada 4 uniwersytety, dwa rządowe w Gandawie i Leodjum i dwa wolne: w Brukselli (masoński) i w Louvain (katolicki). We wszystkich uniwersytetach językiem wykładowym jest francuski, ogół studentów jest mięszany, ale w niektórych liczba studentów flamandów jest znacznie wyższa. W Gandawie na 125 stud. wallonów przypada 480 flamandów. W Louvain 800 wallonów na 1200 flamandów. W Brukselli i Leodjum ilość flamandów jest bardzo nieznaczną. Ciekawy jest też liczebny stosunek ludności—flamandzi przewyższają wallonów o kilkaset tysięcy. I nie bacząc na liczebną przewagę, nie bacząc na to, że potrzeby kraju wymagają istnienia wyższej uczelni z wykładowym językiem flamandzkim — ludność flamandzka dotąd była tego pozbawiona. Wprawdzie istnieje uniwersytet w Gandawie założony za panowania Wilhelma I z wykładowym językiem łacińskim. Na wystawie wszechświatowej w Brukselli widziałem program, wydany przy otwarciu uniw., który brzmi w zatytułowaniu: series lectorum que auspice Deo optimo maximo, in Academia quam Gandae Wilhelmus I Belgarum rex instituit habebuntur adie III Novembris MDCCCXVIII. W roku 1843 łacina została zastąpiona francuskim, który pozostał do dziś dnia.

Zauważę, że Gandawa to centrum kulturalne Flandrji, ludność dookoła flamandzka; fakt istnienia uniwersytetu z obcym ludności wykładowym językiem zaczyna stopniowo wzbudzać niezadowolenie.

W 1901 roku „Bien Public" wychodzący w Gandawie pisał: „w naszym mieście powstał „mały" ruch mający na celu przekształcenie uniw. francuskiego na flamandzki". Gazeta fakt ten traktuje pobłażliwie—gdyż ruch ten jej zdaniem jej nie posiada siły. Zawód był gorzki—ruch ten wzrósł w ostatnich latach i nigdy tak jak dziś kwestja flamandyzacji uniwer. w Gandawie nie zaprzątała umysłów. Przeciwnicy flamandyzacji twierdzą iż Belgja jest krajem dwu językowym. Statystyka urzędowa temu wyraźnie przeczy. W roku ubiegłym liczono w Belgji 38% mieszkańców mówiących tylko po francusku, 48 proc. tylko po flamadzku i 14 obydwoma. Dowody na rzecz flamandyzacji stawiane są bardzo rzeczowe i doprawdy trudno im się opierać. Flandrja jest krajem rolniczym — brak wyższej szkoły rolniczej daje się boleśnie odczuwać. Gospodarka rolna upada, dla kierownictwa — duże gospodarstwa muszą sprowadzać inżynierów rolnych i agronomów z Niemiec, Brak wykwalifikowanych robotników zmusza także do sprowadzania ich z Niemiec, procent świadectw z ukończenia szkół profesjonalnych rocznie wydanych jest bardzo nizki. Stwarza to germanizację Flandji przez napływ elementów niemieckich, który z konieczności jest pożądany.

Chcą wszystkiemu temu zapobiec kierownicy ruchu flamandzkiego przez flamandyzację uniw. w Gandawie i przez utworzenie wyższej akademji rolnej. Ale propozycja ta natrafia na silny opór antyflamandów (anti flamingant), którzy opierają się stanowczo wprowadzeniu tej myśli w życie. Nareszcie jest i trzeci kierunek, który uważa za możliwe rozwiązać kwestję w ten sposób, że uniw. francuski pozostanie, a obok niego stanie uniw. flamandzki. Na tym tle więc powstał obecnie zatarg między obu narodowościami i nierozwiązanie kwestji grozi Belgji przykrym konfliktem.

Kilka tygodni temu na jednym z mityngów w tej sprawie socjaliści, liberali i katolicy idąc za starym hasłem, które pozwoliło Belgji stać się niepodległą (Union fait la force. — „W jedności siła"), połączyli się w jedno wspólne koło w owej walce o wyższą uczelnię flamandzą. W obozie socjalistycznym kwestja ta wywołała rozbicie się zdań: z jednej strony stanęli C. Kuysmans, Deswaerts i Meysmans za flamandyzacją — z drugiej Vandervelde i J. Destrè (istnienie dwóch uniw. obok siebie).

Istnieje jeszcze X sposobów proponowanych dla rozwiązania sprawy, ale nie mogę przytaczać ich tutaj, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Obecnie w Brukseli co tydzień odbywają się zebrania w tej sprawie urządzane w „Palais de Justice" i co tydzień przemawia jeden mówca za lub przeciw. Na jednym z ostatnich zebrań przemawiał sekretarz międzynarodowego biura socjalistycznego Camil Huysmans.

Oto jego słowa — mają one i dla nas, Polaków, znaczącą wymowę:

„Mówicie nam panowie, że jesteśmy wrogami kultury francuskiej że ją zwalczamy. Tak nie jest, my jej nie zwalczamy—ale jeśli naszą własną kulturę dla francuskiej musimy usunąć — to zgodzić się na to nie można; w naszym kraju nasza kultura i nasz język musi mieć pierwszeństwo. Przeciwnicy moi bagatelizują kwestję, chcąc sprowadzić rolę uniwersytetu do zera. Nieprawda! Uniwersytet zawsze był i będzie tym wielkim zbiornikiem w którym zbiera się i przekształca w nowe reformy życie narodowe Gdy Napoleon masą żołdactwa zgniótł Niemcy — skąd przyszedł pierwszy odpór? — Z uniwersytetów. Gdy Rosja śpi snem wiecznym, gdzie są żródła, z których nowa fala ruchu przebija? Uniwersytety. Gdy klerykalizm rozpanoszył się w Polsce i zagarnia szkołę coraz bardziej — kto stawia dzielny opór? — Uniwersytet. Takich przykładów naliczyłbym wiele — a więc wara Wam Panowie od bagatelizowania roli uniwersytetu. Dalszy rozwój i siła Belgji musi opierać się na autonomji absolutnej obu narodowości. My nie będziemy prosić, błagać — nie! My wymagamy tego — bo to jest dzieło Sprawiedliwości. Jeszcze jedno Wam powiem, przeciwnicy! my się głęboko różnimy — my mamy Cel, którego wy nie macie i mamy hart, nieugiętą wolę, która przez wszystko nas do celu zaprowadzi... i jeszcze jedno: my jesteśmy w większości. Dziwi Was, że słowa te słyszycie od socjalisty, propagującego ideę Internacjonalizmu zarazem. Marzenie o Internacjonale jest marzeniem o przyjściu tej chwili, kiedy wszystkie narodowe kultury będą tak wyraźne, że dorównają sobie wzajemnie i wytworzą tak wysoką formę cywilizacji, w której nacjonalizm zaniknie. Ale dziś... dziś, powtarzam, podstawą Internacjonalizmu — jest narodowość. Mówią, że my jesteśmy mało kulturalni (presque barbares). Uniwersytet w Leydzie liczy 17 profesorów (wybitnych) flamandów, a literatura nasza, sztuka, która w swoje czasy była jedyną w Europie? Zarzucają nam, że chcemy wnieść germanizację do Belgji. Kultura nasza jest zgoła odmienna od niemieckiej — nie do zniemczenia kraju my dążymy, ani nie chcemy zwalczać kultury francuskiej — ale w naszym kraju nasz język i nasza kultura muszą być na pierwszym miejscu. Jednak jeśli ruch nasz spotka trudności nie do przezwyciężenia — to możliwe, że może pójść w kierunku mniejszego oporu; język niemiecki okolic są-

siadujących z nami jest zbliżony do naszego i wtedy kto wie, czy Frandrja nie stanie się jedną z najdalej wysuniętych placówek pangermanizmu i nad tym niech przeciwnicy nasi dobrze się zastanowią."

Bruksella, 24/III. *Edmund Nowolski.*

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

X.

Z czym zerwać? Brzozowski w „Legendzie" uskarża się, że Młoda Polska zamieniła Golgotę na Oberamergau, i powiada: należy już raz stanowczo zerwać z tym polskim Oberamergau. Ja zaś powiadam: należy stanowczo zerwać — ale ze wszystkimi Golgotami — bo czemże są te dzisiejsze Golgoty, jak nie widowiskiem z Oberamergau, tylko wziętym na serjo i zagranym w prawdziwym materjale? A przedewszystkim trzeba raz skończyć z systemem gadania t. zw. gorzkich prawd narodowi, i za oszusta ogłosić każdego, który z tej beczki zaczyna. Jeżeli się zaś ma wprowadzić proponowaną w „Wyzwoleniu" cenzurę narodową, to nie poto, żeby Polakom zakazać się żenić z Rusinkami i żydówkami — jak marzył Wyspiański, lecz żeby od czasu do czasu zakazywać policyjnie używania pewnych ogłupiających słów jak np. teraz — „Czynu".

Karotaż narodowy. Posiew krwi!? Pozostawmy tę szlachetną złudę tym, którzy potrzebują wrażenia, że nie umierają napróżno. Lecz nigdy i nigdzie krew sama przez się nic nie zdziałała, nic nie posiała, była tylko ubocznym epizodem w objawach siły. Darmo pocieszać się przykładem pierwszych chrześcjan. Tylko czytelnicy „Quo Vadis" mogą wierzyć, że dziwaczny heroizm Chilonów użyźnił grunt pod rozwój krzyża. „Posiew krwi" jako dawanie „budującego" przykładu, nie da się utrzymać. Tylko budowa rodzi budowę, a krew rodzi tylko znowu krew. Natomiast próbuje się teraz nową sztuczką ratować metafizykę krwi: robi się z krwi barometr nacisku pewnej siły. Wiara w prawdę A, albo prawdę B jest już taka, że ludzie gotowi są za nią cierpieć i umierać — ergo prawda ta jest już niezłomnie ufundowana. Krew jest tu ostatnim wyrazem brania cze goś na serjo.

Zacóż to jednak w historji ludzie już nie cierpieli i nie umierali! Wszak niedawno w Abissynji kilka wsi urządziło strajk głodowy, aby utrzymać u władzy reakcyjnego kapłana Rodoilcha! I nie da się zaprzeczyć, że wszyscy Krzyżacy pod Grunwaldem polegli „śmiercią męczeńską" za swoją krzyżacką prawdę. Byłże to może „posiew" na zwycięzców z pod Sedanu i Sadowy?

Definicje Polski. Naprzód: Polska bez zastrzeżeń, Polska konkretna widzialna, w znaczeniu ziemi, dobra lub zła, byle była — taka jakiej żąda Konrad z „Wyzwolenia". Po drugie: Polska jako akt duchowy, jako niewidzialna siatka zapalających się w tej chwili polskich ogniw woli (serce? — A to Polska właśnie! „Wesele"). Podobnie Brzozowski w Legendzie. Po trzecie: Polska jako cel idealny, jako Nowa Jerozolima. To znaczy: Walczmy i budujmy, czyńmy wszystko co dobre, piękne, sprawiedliwe i t. d. co i tak byśmy czynili — ale czyńmy w imię Polski i niech się to nazywa Polską. Człowiek czuje potrzebę wyrzucenia motywów woli z siebie na zewnątrz: i jak rycerz, chcąc zabić smoka, szukał najpierw damy, nie tylko dlatego żeby jej torebkę ze skóry potwora ofiarować, lecz żeby w jej imię spiąć rumaka ostrogą i na smoka się rzucić — tak i Polska ma być barwą, pretekstem, a nadto produktem jakgdyby ubocznym każdorazowego ideału. Ta definicja jest najbardziej rozpowszechniona. A jest i czwarta: Polska jako specjalna odmiana, czy faza ogólnego problematu kulturalnego.

Zakończenie. Ktoby mi zarzucił, że zawiele wagi przywiązałem do pewnych objawów przejściowych, niech wie, że nie chodziło mi o „tłumienie zrywającego się ducha", lecz o zasadnicze zmiany chemiczne u tegoż ducha. A kto zauważy, że rzucałem bluźnierstwa *z dołu*, niech pomyśli, że może to była ostatnia forma szacunku, bo kto wie, czy nie miałem prawa i siły rzucać je z góry.

Karol Irzykowski.

BADANIA NAUKOWE.

Dzieło O. Weiningera.

(„Płeć i charakter" — przekład Ortwina).

Weininger w przedmowie zapowiada, że zamierzył dotrzeć do sfer „panadzjawiskowych", gdyż same zjawiska go nie zadowalają. Oczywiście, że wobec tego, my jako skromni krytycy nie podążymy z nim w te sfery, które są zbyt wysokimi progami na nasze nogi. Weininger wyraża swą niechęć do psychologji biologicznej i fizjologicznej, wytyka jej niektóre rzeczywiste braki i ułomność, i w tym czerpie motyw do opuszczenia jej i zwrócenia się w stronę „psychologji introspektywnej".

Byłoby to dobrze, gdyby nie to, że autorytatywnym sprawdzianem jest zawsze empiryzm, budzący największe zaufanie, nawet w wypadku nieudolności. Gdy Weininger nieudolną dziś psychologję biologiczną i fizjologiczną zastępuje „introspektywną", to zamienia właściwie nieudolną psychologję na jeszcze nieudolniejszą. Weininger zbyt pośpiesznie wyciąga wnioski z przesłanek nie mogących rościć pretensji do tego, ażeby były dla wiedzy obowiązujące. Początkowa serja wniosków, wysnuta przez autora z pewnej liczby danych przyrodoznawstwa, obraca się i oscyluje w granicach prawdopodobieństwa i możliwości, nie będąc dowiedzioną na tyle, by musiała obowiązywać wiedzę, opierającą się na doświadczeniu i spostrzeganiu. Zaledwie mała ilość twierdzeń autora może zobowiązywać przyrodoznawstwo.

Autor jednak inaczej ocenia swe twierdzenia, przyjmując je za bezwarunkowo prawdziwe.

W tej myśli odważnie i z pewnością siebie stosuje on swe twierdzenia do życia. Póki obraca się w sferze uogólnień przyrodoznawstwa, posiada jaki taki grunt pod nogami, z chwilą jednak, gdy na jakiejś setnej stronicy swej obszernej, blizko 500-stronicowej pracy grunt ten świadomie i dobrowodnie opuszcza, zamyka on tym samym krytyce drzwi przed nosem. Trzeba już specjalnego amatorstwa, ażeby ze skalpelem krytyki podążać za autorem w zawrotne sfery metafizyki.

Urodzeni, czy w trakcie życia sformowani nieprzyjaciele kobiet, lubiący rozpływać się w gadulstwie, w książce Weiningera znajdą obfity materjał „rezonerski" do twierdzeń, których ani dowolności, ani prawdziwości wymierzyć nie można. Introspektywny sposób roztrząsania, stosowany przez autora, raczej wkracza w dziedzinę beletrystyki, niżeli w sferę jako tako ścisłej wiedzy. Nie wierzymy w pożytek uczonego i pracowitego wymyślania kobiecie na 500 stronicach druku, gdyż do tego wyniku sprowadza się wysiłek książkowy. Jakkolwiek autor usiłuje popisać

się jakąś aż „hyperanalizą", to jednak często jest widocznym, że ta jest powołaną do życia tylko po to, by pozostawać na usługach subjektywizmu autora.

Uwidocznia się to np. przy sposobności omawiania przez autora sprawy „emancypacji kobiety". Poruszając to zagadnienie, W. nie potrafił w ruchu emancypacyjnym kobiecym dostrzec czegoś więcej, niż samo tylko potwierdzenie pewnych swoich wniosków. Nie przyszło mu na myśl, że ruch emancypacyjny kobiecy nie dlatego i nie poto istnieje, by stwierdzać teorje p. W-ra o kobiecie, lecz wypływa z takich źródeł i zmierza do takich celów, które się nie mieszczą w ramach jego teorji. Ruch emancypacyjny nie może znajdywać ani swej aprobaty, ani swego potępienia w tym, czy umężczyźnione kobiety posiadają zadatki na genjuszów a kobiece kobiety tego daru całkowicie są pozbawione. Autor na tym właśnie swą negację ruchu oparł. Niezależnie od tego, czy „kobiecość" w porównaniu z „męzkością" nic nie jest wartą, ruch emancypacyjny można pochwalać lub ganić nie ze stanowiska tej teorji, lecz jedynie ze stanowiska pożytku lub szkody, jaką sprawić może.

Zbyt daleko zabrnęlibyśmy w szczegóły, gdybyśmy tu podkreślać chcieli miejscami ujawnioną sprzeczność ze sobą samym i nieścisłości w rozumowaniu W-ra. Zamiast tego, pożyteczniej będzie zrobić pokrótce przegląd twierdzeń autora i zobrazować je, zaopatrując je tu i owdzie uwagami.

Uczona plotka o kobiecie Weningera pod wielu względami jest zastanawiająca.

Mizogynizm (nienawiść kobiety) jest stary jak świat. W świecie naukowym znajduje on swego przedstawiciela w osobie Moebiusa, który, stojąc na gruncie przyrodoznawstwa i mając za sobą bardzo rozległe i wieloletnie studja pod tym względem, usiłuje zedrzeć aureolę, osłaniającą kobietę. P. W. należy do rzędu mizogynów bardzo osobliwych bo „mirabile dictu" *transcendentalnych.*

Nie uprzedzajmy jednak wypadków, lecz podajmy naprzód możliwie skróconą wiązankę twierdzeń autora, nim je poddamy ocenie. Weininger utrzymuje, że absolutny mężczyzna o wyłącznie męzkich znamionach duchowo-cielesnych i absolutna kobieta o wyłącznie kobiecych cechach duchowo-cielesnych w przyrodzie nie istnieją. Natomiast roją się istoty obojniacze. Ilość stopnia zmieszania cech męzkich i żeńskich w jednym osobniku jest nieprzeliczona a rozmiar przewagi jednych cech nad drugimi dochodzi do tej granicy, że pojawia się trudność określenia, do jakiej płci dany osobnik należy.

Antropologji jest to oddawna wiadome, ale powątpiewa ona, czy ilość umężczyźnionych kobiet i zkobieconych mężczyzn jest tak wielką, że staje się pospolitą, nie ośmiela się ona również, jak to robi autor, twierdzić, że „absolutni" mężczyźni i „absolutne" kobiety w naturze nie istnieją. Dalej autor utrzymuje, że nacechowanie płciowe osobnika nie objawia się wyłącznie w kształtach poszczególnych narządów, dostępnych dla oka. lecz przenika ona do komórki organizmu tak, że płeć tkwi wszędzie, w całym ciele. Jest to hypoteza, za którą nie jedno przemawia, ale autor z zamiłowania dla jej treści uważa ją za pewnik. W dalszych swych wywodach, wbrew temu, co powyżej streściliśmy, utrzymuje niejednokrotnie, że osobnik zawsze tylko jest albo kobietą albo mężczyzną. Niekonsekwencje takie i kłótnie ze sobą samym popełniają wszyscy manjacy i słabsza ich postać — doktrynerzy, którzy dla umiłowanej tezy łatwo poświęcają logikę i konsekwencję badacza. U ludzi tego pokroju tezy powstają naprzód na mocy rozkoszy, jaką sprawiają autorom z tych lub owych względów; dopiero po pojawieniu się tą drogą tez dorabia się do nich usilnie za wszelką cenę argumenty. Do takiegoż typu należy Weininger.

Powracając do twierdzeń autora z kolei rzeczy wspomnieć musimy, że głosi on pogląd jakoby pociąg płciowy najsilniej powstawał między tego rodzaju mężczyzną i tego rodzaju kobietą, których algebraiczna suma cech w połączeniu tworzy sumę cech jednego absolutnego mężczyzny i jednej absolutnej kobiety. Oprócz luźnych powierzchownych spostrzeżeń, objektywnych dowodów na to niema. Ile w tym jest intuicyjnej prawdy, a ile fantazji autora, trudno ocenić. Według autora praktyka homoseksualizmu i miłości lesbijskiej popiera ten pogląd. Autor nie uważa je za zwyrodnienie a tylko za poszczególny wypadek i skutek zmieszania cech płciowych męzkich i żeńskich, co jest normalnym, naturalnym i koniecznościowym wynikiem dziedziczenia przy udziale męzkiej i żeńskiej płci w rozpłodzie.

Autor nie bez słuszności ujmuje się za rehabilitacją fizjognomiki ze względu na „charakterologię", która musi uznać, że cała postać człowieka we wszystkich drobiazgowych szczegółach jest warunkiem i wynikiem jego znamion psychicznych. Po takim krótkim preludjum, wytrzymującym jako tako krytykę pozytywnej doświadczalnej wiedzy, W. nagle kopie tę ostatnią z oczywistą szkodą dla swej reputacji badacza. Czując, że wiedza doświadczalna i pozytywna odmówi mu usług przy poparciu ulubionych *à priori* powziętych tez, Weininger nagle przerzuca się w sferę metafizyki i transcendentalnej filozofji, stając się rodzajem „nadfilozofa", któremu jak Rosjanie się wyrażają „um za rázum zachodit".

(d. n.). *Alexy Kurcyusz.*

Stanisław Szpotański o Mochnackim.[1]

Zagadkowa postać Mochnackiego wychyla się coraz wyraźniej z chaosu Rewolucji Listopadowej. Artur Śliwiński, wielkimi, ognistymi rzutami malując dramat jego życia, wlał weń całą burzę swej wyobraźni i dzięki rozpędowi uczuć, ożywiających temat, zdołał pamięć Mochnackiego wskrzesić z zapomnienia i narzucić uwadze powszechnej. Wślad za „natchnioną" monografją p. Śliwińskiego, wystąpił ze ściślej historyczną i badawczą pracą p. Kucharzewski. Wszakże i on nie ustrzegł się pewnej idealizacji w odtwarzaniu rysów naczelnych indywidualności „trybuna ludowego". Obie prace powyższe są owocem przedwczesnej syntezy. Przedstawiają raczej intuicyjną wizję, opartą wprawdzie na dokumentach historycznych, ale w wielu miejscach je przerastającą, niż dokładne, wszechstronne spożytkowanie materjałów, źródeł i przyczynków Obie przeto zbliżają się bardziej do typu twórczości *publicystycznej*, niż istotnie *naukowej.*

Monografja p. Szpotańskiego jest pierwszą próbą naukowego opracowania dziejów żywota Mochnackiego. Nie dowodzi on już w swym dziele doniosłości tematu, nie uzasadnia wyboru w przedmiocie swych badań, jak to musieli czynić, przystępując do pracy, pp. Śliwiński i Kucharzewski. Chodzi mu nie o usprawiedliwienie potęgi imienia Mochnackiego, nie o wytoczenie procesu jego szkalownikom, ale jedynie o docieczenie przedmiotowej prawdy. Postarał się on przedewszystkim o zdjęcie z postaci Mochnackiego osłon, w jakie ustroiła go legenda, oraz o rozbicie suggestji, jakie zdołał skupić dokoła siebie sam Mochnacki, jako niezrównany autor „Powstania Narodu Polskiego". Nie trzeba bowiem zapominać, że

[1]) St. Szpotański: „Mochnacki", profil historyczny. Kraków, 1910.

Mochnacki był nietylko działaczem, ale zarazem i genjalnym piewcą swej działalności. Na kształtowanie jego życiorysu złożyły się nietylko zdarzenia jego życia, ale... także zalety jego pióra. Otóż „pióro Mochnackiego, — jak trafnie dostrzega historyk, — miało tę właściwość, że nie wywoływało cieniów życia zamglonych, ale było twórcze: wbrew temu co było, stwarzało nowe światy i nowych ludzi, mających narzuconą sobie słowem lakonicznym, a dziwnie giętkim, taką realność żywą, że zwyciężała samo życie, że spółcześni zdarzeń świadkowie zapominali o tym, co widziały ich oczy. Niczym innym, jak słowem, rzucił cień swej postaci na całokształt złożonych wypadków listopadowych, cień tak wyrazisty, że zaćmił współczesnym wiele rysów, zdarzeń, postaci, że historjografowie tego okresu powtarzają jego uwagi, fakty oświetlają tak, jak on je oświetlił".

Wyzwolenie się z magji stylu Mochnackiego było pierwszym zadaniem badacza, któryby chciał zająć stanowisko krytyczne wobec tematu. P. Szpotański zdanie to spełnił sumiennie i trafnie. Poza obraz, stworzony piórem Mochnackiego, sięgnął on okiem krytycznym w obraz rzeczywistości historycznej.

Szczegółowemu rozbiorowi działalności Mochnackiego poświęcił autor obszerną monografję krytyczną, uwzględniającą bogate źródła dziejowe. Broszura zaś niniejsza jest krótkim, zwięzłym szkicem syntetycznym, który p. Szpotański wysnuł z założeń, wniosków i uogólnień uprzednio opracowancj przez się monografji.

St. Romanowski.

Poetka ros i promieni.

(Marja Szpyrkówna: „Zwrotki jesienne").

Poeci mieć winni w maju osobliwe przywileje: pozwólmy tedy skarżyć się rozżalonej piosence:

„Może i miałam o wiośnie, o świcie,
legendę swoją, w tęsknotę oprawną —
lecz dawno nad nią już zwarło się życie,
O!... dawno...

A jednak dotąd, gdy w cichej godzinie
powracam duszą na wiosny mej cmentarz
— coś wstaje z mogił, i szepce, i płynie:
— — Pamiętasz?...

I w jaką świata bądź poszłabym stronę,
myśląc, że zgłuszę, uciszę, zapomnę —
słyszę to echo, samotne, stęsknione,
bezdomne...

Przeczuwamy, iż na dnie tak melancholijnej zadumy spocząć musiał... jakiś bajecznie dziewiczy dramat! I tak było istotnie:

„Pokochała raz rosa srebrzysta
złote słońce, świecące w błękicie — —
pokochała na własną niedolę,
pokochała na śmierć, nie na życie...
I tak wiele tęsknoty i bólu
w swego serca zaklęła kryształe,
że aż słońce złociste z błękitów
zeszło ku niej w promiennej swej chwale...
I złączyły się w jasnej pieszczocie
złote słońce i rosa na łące...
I od żaru słonecznych promieni
gasły rosy kropelki płonące...
Aż gdy słońce świetliste u góry
w dalszą drogę błękitem ruszyło — —
już ostatnia kropelka zagasła
— już ostatniej kropelki nie było.

Wiersze ładne, bardzo ładne i wzruszające. Aby do głębi odczuć całe ich piękno, wystarcza mieć lat piętnaście, i książkę czytać w ustroni ogrodu, pośród bzów kwitnących i białych konwalji.

Jan Tarczewski.

KRYTYKA.

Na marginesie „Oziminy" Berenta.

Literatura wydaje mi się nieraz dziełem ludzi przedelikaconych, którzy fałszują rzeczywistość, aby oszczędzać siebie. Patrzenie w siebie jest źródłem twórczości, ale to patrzenie rzadko ma odwagę widzieć do dna. Następuje pewien punkt zwrotu, odwrócenia oczu, zażenowania twardością i bezwstydem natury: odtąd zaczyna się już tylko rojenie, szczebiot zamiast mowy. Zbyt rzadko słyszy się w literaturze odgłosy owego złowieszczego żelaznego stąpania, z jakim wszystko się odbywa w życiu, czuje czystą mroźną atmosferę i oddech bezwzględności, który upaja serce rzetelne. Zdarza się również, że pisarz używa swej sztuki jako maski. Swiadomie, lub nie, transponuje swe niezadowolenie na podłoża zewnętrzne, zasiewa swe kwiaty trujące na obcej roli, w błąd wprowadzając w ten sposób ludzi mniej przenikliwych, którzy gotowi są widzieć w utworze naprzykład dokument chwili, pewną prawdę lub szereg prawd, zdobytych z największą możliwie dozą zapomnienia o sobie, objektywizmu, szczerości i owej gotowości złożyć zawsze swe idjosynkrazje, wstręty i sympatje na „ołtarzu słuszności". Jeżeli mamy, naprzykład, niezadowolenie, rozlane na trzystu stronicach i przybierające w niektórych ustępach charakter paroksyzmu, jeżeli widzimy z całej rozmaitości tonów i kolorów nadużycie tych samych barw szarych, żółtych, buraczkowych — to istnieje chyba pewna zasada, by utrzymywać, że artysta tego rodzaju jest lirykiem, dla którego każde pole (w wypadku *Oziminy* — naród) jest tylko miejscem do posiewu jaskrów i bieluni, pretekstem do uśmierzenia siebie przez wybuch uczuciowy (erupcję).

* * *

„Polska" tego rodzaju, jaką widzi Berent, jest mu potrzebna jako środek uśmierzający. Przytem — mniejsza o to, czy autor widzi dobrze czy niedowidzi. Pobudką pierwotną nie jest tu wcale duch obywatelski, lecz wewnętrzna, osobista zgorzkniałość, kostyczność, znużenie sobą i towarzystwem — wiele zapewne pobudek i powodów ukrytych, których niema potrzeby odgadywać. „Ozimina" nie jest historją, lecz katastrofą: lawa żółciowa popłynęła i porwała z sobą sam wulkan: widok niemożliwy w naturze, lecz możliwy — w sztuce!

* * *

Berent ma dość talentu, aby tych, którzy nie umieją czytać tej książki, przepełnić tak zwaną „zbożną wdzięcznością" za to, że sprawił cięgi zgnuśniałemu narodowi, że dał rodzaj „przesadnej wprawdzie, lecz jakże potrzebnej (?) i krzepiącej satyry" (sic!) (Teorja cięgów, zarzucona już w pedagogice, pokutuje jeszcze w literaturze!) Lecz czemże jest publiczność czytająca? Jedni pragną anegdoty, drudzy chcą znaleźć w dziele kanonizację swej śpiączki, jeszcze inni szukają w znakomitym autorze istoty dla kultu. Potrzeba kultu gorętsza jest, niż potrzeba kultury. Słowacki, Mickiewicz, Chopin — czasem Wyspiański, czasem — ks. Józef Poniatowski, jakkolwiek mało rozumiani, ado-

rowani są nieraz jak bożkowie, choć ci wielcy ludzie zapewne nie mieli zamiaru tworzyć w Polsce nowego rodzaju polyteizmu. Wreszcie — czytelnicy, którzy w czytaniu szukają wyrazu dla swych wstrętów, pogardy, zgorzkniałości. Ci właśnie tworzą hufiec owych głów wdzięcznych autorowi „Oziminy" za „kawał historji" i „przekrój duszy polskiej". Ileż w tym jednak zaślepienia i egoizmu: czy wdzięczność ich nie powinna płynąć raczej z poczucia ulgi, ze świadomości skutku hedonicznego.

* * *

Co jest w „Oziminie" mocne i cenne?

Język bardzo samoistny, narkotyczny, choć nieraz naprężony, pretensjonalny. Postacie, z których każda żyje, jest w swoim rodzaju zupełną i wyborną. Jako twory estetyczne nie mają one tej anemji, która chce, aby czytelnik karmił krwią własną pomysły autora, by im nadać ruch i pełnię. Berent nie poprzestaje na myślach, okazuje on towarzyszące im gesty, pozy, ruchy, wstrząsy, wyszczerzenia, opadanie i wznoszenie się ciała. Przy pewnym przeciąganiu tej struny otrzymuje się wrażenie, że ludzie Berenta to istoty o mocno przedrażnionym systemie nerwowym. Jest to pierwszy może w literaturze polskiej na taką skalę przedsięwzięty zamiar łowienia człowieka na instynkcie, na tym, co w nim jest odruchowe, a przytym tak zdradliwe i malownicze, co może lepiej, niż słowa i ton głosu świadczy o napięciu lub opadaniu energji, o temperamencie, ospałości, wyjałowieniu i innych cechach. Postacie Berenta są mądre i widzą daleko. Nie żyją w tej błogej nieświadomości, która jest zbyt często cechą beletrystyki i uchodzi za poetyczną. Kobiety Berenta są naturą — oto ich wielka zaleta, lecz naturą zbyt zatrwożoną, skrępowaną gorsetem i filozofją, w której przesądy salonu łączą się z reminiscencjami chrześcijaństwa. Niema również w tej książce owej dziecinnady pojęciowej, która jak trąd trapi literaturę i wybucha nagle niespodziewaną szczeliną nawet z dzieł ludzi bardzo utalentowanych.

W wybornej postaci pułkownika widać tryumf kultury nad instynktem, wspaniałomyślność w obliczu wroga, któremu nie odmawia się zalet. Lecz owo przecenianie wartości tej osoby, nawet radosne na nią spozieranie i ocieranie łez ukradkiem, że się już takim nie jest — w tym właśnie tkwi rewelacja. Tu właśnie dociera się do granicy, gdzie się styka duch baczniejszy ze znużeniem berentowskim. Tu właśnie wzdycha jego tęsknota do oazy świeżości.

* * *

Koniec jest dorobiony. Berent obejrzał się poza siebie i ujrzawszy pole zniszczenia, na którym całą noc popasał, uznał, że dość już tego. Trzeba wydać kilka okrzyków pocieszających. Przypomniał sobie Grecję i zdało mu się, że ma prawo przywołać Djonizosa. Przyszło mu na myśl, że może z czasem i u nas będzie lepiej. Profesor berentowski powstaje, zaczyna oddychać swobodniej, jakby wypuszczony z czadu na świeże powietrze.

Lecz ta „wiedza radosna" przychodzi zapóźno, kiedy wrażliwość czytelnika już ugrzęzła na dobre w trzęsawiskach przygnębienia, kiedy uznał, że Berent jest autorem, którego treścią są produkty kwaśne. Ale — cóż to tam świta? Czyżby naprawdę coś w rodzaju nadziei? Podnosi się jedną nogę, aby wyjść z trzęsawiska, ale druga zapada głębiej.

Nie wiąże się koniec z całością, jest dolepiony. Robi wrażenie słabości ze strony autora, odstępstwa, wyczerpania lirycznego, zmęczenia ostatecznego, które go ogarnęło przed końcem chmurnej drogi.

* * *

Warto przyjrzeć się bliżej upodobaniom artystycznym Berenta. Ileż, naprzykład, rozmiękłej kobiecości, oddania się, samozaparcia jest w jego opisach tych maleńkich sabatów pieszczotliwych, które kobiety urządzają sobie — z pokazami swych wdzięków mało osłonionych, z cichymi pomrukami, z gładzeniem się po skórze, z szeptami i śmiechami, z pocałunkami i łzami! Wyobrazić sobie można scenę wtajemniczania Berenta w te misterja domowite! Autor „Oziminy" — w czepku i szatach kobiecych — reprezentuje starszą nieco niewiastę — pełną dobrotliwości i zrozumienia. Zasiada wśród nich jak równy wśród równych. Światła się przykręca, aby blask nie raził oczu, które mogą zalśnić łzami, aby nie widzieć zbyt jasno nagle wypełzłych na policzki wypieków. Ileż upajającego smaku mają wtedy wynurzenia sążniste, pogwary i przydechy, lekkie potarcia ciała o ciało! Kobiety zaczynają szukać w duszach powodu, dlaczego są tak nieszczęśliwe, dlaczego błądzą po omacku, przyczym troskliwie pomijają powody istotniejsze, aby tym dłużej błądzić w labiryncie. Jest to rodzaj kokieterji, uzupełniającej rozpięcie biustu.

Berent wchodzi w tę sferę aksamitnego pocierania się i szeptów doprawdy jako równy do równych — bez śmiechu w zanadrzu! Ileż w nim poważnej, cierpliwej ciekawości i żądnego zasłuchania w te szmery duszy i chrzęsty bielizny! Ileż gotowości uwierzenia natychmiast w każdą łzę, spadającą z oka odpowiednio dorodnej kobietki! Jak mu jest dobrze przy tych białych rękach! Jak odpoczywa w tej atmosferze perfum i poskramianej samiczości! Wcale nie śpieszno ani pilno wydrzeć się z babiego koła temu „karcicielowi" duszy narodowej! A poza tym — ileż czeka go wdzięczności ze strony czytelniczek, które znają się na tego rodzaju misterjach!

(c. d. n.). *Leon Choromański.*

„Pisklęta". [1]

Pan Jędrek, mający wzrostu łokieć i cali cztery był figurą nielada! Miał swój własny świat myśli, pojęć, pragnień, ba! miał własny, przez siebie samego stworzony język. Cóż więc dziwnego, że znakomita persona doczekała się osobnego życiorysu?

Ważną tę pracę, napisania biografji osobistości niezmiernie zajmującej, a ogółowi zbyt mało znanej — podjęła p. Zofja Rogoszówna i wywiązała się z zadania niepospolicie. Jej Jędrek żyje, płacze i śmieje się, gwarzy i działa, wyciąga rączki i choć są zamorusane, bierze nas nimi za serce... ot poprostu nie możemy się oprzeć urokowi tego obywatela i pod jego spojrzeniem—rzewny uśmiech wykwita nam na ustach.

A język jego! Nie wiem, czy który lingwista badał język ludzi poniżej dwóch łokci wzrostu. Myślę, że nie, a szkoda, bo może wiele mógłby się z niego nauczyć. Oto np. wyraz *tiutka*. Dla nas, laików, on nic nie znaczy. W mowie zaś Jędrka ma głęboki sens filozoficzny, syntetyczny, bo obejmuje w swym szerokim uogólnieniu wszystkie istoty o pewnych cechach wspólnych, a więc żywe, małe, ciepłe i obdarzone władzą poruszania się dowolnego.

Tiutką jest więc i pies, i kot, i kaczka, wszystko w okresie małoletności, ba! nawet zwierzę nieprzyzwoicie przezwane „ropuchą", z którą Jędrek w doskonałej bywa komitywie.

Raz tylko umysł myśliciela zawahał się, azali ta syntetyczna nazwa może objąć i pewną tajemniczą istotę długą jak „bat tatusia" (My ją nazywamy wężem). Ale po głębokim rozmyśle filozof do następującego doszedł wniosku: „oci ma, lucha się... tiutka". Co w języku naszym oznacza, że owa istota, jako ma-

[1] „Pisklęta" nowele Zofji Rogoszówny. Nakład „Książki", Kraków 1910 r.

jąca organ wzroku i obdarzona ruchem jest także zwierzęciem, do wejścia w bliższą komitywę odpowiednim. Ale gdy dziwna „tiutka” nachyliwszy się nad miseczką Jędrka, zaczęła mu wypijać mleko nie tykając krup, których on nie lubił (mądra tiutka, ma gust!) filozof stracił nareszcie cierpliwość i skarcił ją mężnie łyżką, wołając jak matka do niego samego: „nie papaj siamo mliko, papaj klupy!” I umoralnił tiutkę odrazu. System kar cielesnych, tak pogardzany, ma jednak widać swoje znaczenie pedagogiczne.

Życiorys Jędrka to uroczy uśmiech wiosenny, a że takich uśmiechów mało, więc dziękujemy zań gorąco młodej autorce.

Zawarta w tymże tomiku biografja innej, o kilka cali wyższej osobistości Heluni — nie dorosła, moim zdaniem, artystyczną wartością poprzedniej noweli.

Helunia nie jest, jak Jędruś, dzieckiem żywym, ale trochę książkowym, zanadto doskonałym, zanadto przeczulonym. Mimo to i ta nowela zdradza talent niepospolity.

Jest w niej jedno zdanie, które mnie uderzyło wielką swą głębią.

Oto wujaszek Heli, doktór, opowiada jej, jak się dzieci w szpitalu radowały szopką, którą im sprowadził. I kończy: Tylko jedna dziewczynka była smutna i skarżyła się, że nie może widzieć szopki, bo jest ślepą. Wtedy Helunia podniosła na doktora zdumione oczy zalane łzami, a usta jej drżące rzuciły pytanie straszne, natarczywe, niespokojne:

„A...a Bozia co? wujciu.”

W pytaniu tym słychać złowrogi szum skrzydeł anioła poznania... Zadziwione słowa dziecka uchylają rąbek zasłony, poza którą czai się niezgłębiona otchłań ludzkiego ducha.

Sądzę, że w „Pisklętach” przybyło naszej literaturze dziecięcej niepospolite urokiem dziełko.

Jadwiga Olszewska.

NA DOBIE.

Rzym, Europa i Polska.

Wisi nad nimi ciężka jakaś fatalność zadawnionego nałogu, który sprawia, że Polak, obojętny, gnuśny i bezwładny wobec swoich narodowych i kulturalnych potrzeb, niezwykłą okazuje dbałość o interes rzymskich kardynałów; on, co własne sprawy na każdym kroku zaniedbuje i w leniwej pogrążony drzemce pozwala gospodarzyć u siebie wszelkim ciurom — zrywa się oto rzeźko, gdy go ksiądz pleban za połę pociągnie — i biegnie wtykać palce między obce drzwi— *ad majorem Dei gloriam.*

Ostatnio mnożą się tego rodzaju atawistyczne i bezmyślne odruchy.

Zaledwie mieliśmy sposobność podnieść — z okazji sprawy ks. Storożewa i Wiercińskiego — że chyba interes narodowy polski niema nic do starych porachunków pomiędzy Rzymem i Byzancjum — gdy oto znów, z powodu jubileuszowych uroczystości włoskich, przypomnieć musimy głośno, że nie jest pożądane ani wskazane, by Polska w obronie papiestwa przeciwstawiała się całej Europie.

A taką właśnie szczególną, niewdzięczną i niepochlebną rolę pragnie narzucić nam świątobliwe czarne bractwo.

Nie dość, że z „Francuzów Północy” zdążyliśmy przedzierzgnąć się w jej Hiszpanów; obecnie, gdy i to porównanie straciło na wadze, miałżeby kler katolicki w projekcie stworzenie jakiejś ultralojalnej *Wandei* nad Wisłą i Pełtwią?

Na to się potrochu zanosi. Jak już wiadomo z depesz, lwowskie tow. dziennikarzy postanowiło uchylić zaproszenie włoskich kolegów i nie wziąć udziału w tegorocznym kongresie prasy w Rzymie.

Papież bowiem przeklął Zjednoczenie Włoch, jako dzieło szatańskie, i aby dokuczyć patrjotom włoskim, nakazał trzodzie katolickiej stronić od wielkiego święta narodowego w roku bieżącym.

Apel ten skwapliwie został wysłuchany — we Lwowie, w gremium dziennikarzy polskich.

Polskich? Nie — tylko katolickich.

Stawiąc wyraźnie i świadomie motyw religijny nad narodowym, nasi lwowscy koledzy odpowiednie na się nałożyli piętno.

Nie od dziś znamy zresztą ich pobożną żarliwość, która tak dziwny i ciekawy tworzy kontrast z nizkim bardzo poziomem cnót cywilnych i z nader zaszarganą opinją moralną tego bagnistego światka, gdzie włada niepodzielnie p. Krechowiecki, lepszy cenzor, niż pisarz, i nadewszystko dobry austrjak. Ale i ów mąż świątobliwy nie przypuszcza chyba, że udział dziennikarzy polskich w zjeździe zawodowym mógłby papieża *urazić*; p. Krechowiecki powodował się raczej chęcią nie *narażania* się potężnej koterji jezuickiej, pilnie w Galicji wypatrującej, który z publicystów poważy się wypaść z taktu, nakazanego batutą kościelną...

I otóż — nie poważył się żaden.

Tow. lwowskich dziennikarzy maszeruje karnie, potulnie, lękliwie, z buziami w ciup i rączkami skromnie skrzyżowanymi na piersiach. Przytwierdzić im tylko pióra do ramion — a byłby to istny pochód aniołków.

Wątpić zresztą należy, by ten widok ucieszył czyjekolwiek oczy, prócz wspomnianych fachowych i czujnych spojrzeń; przeciwnie, postawa lwowskich dziennikarzy wywołała wszędzie tak jawny choć ukrywany dyskretnie niesmak, że kler uznał za stosowne, wbrew zwyczajowi, nie chełpić się swoim tryumfem.

Jakoż nie może być przyjemnym dla ogółu polskiego, w którym żyje godność i duma narodowa, to brutalne przypomnienie, że wciąż jeszcze nawet w czołowych zespołach jesteśmy *imperii Romani provincia*, zaborem, rządzonym przez włoskich kardynałów i międzynarodowe czarne bractwo.

Jan Huss i jego tradycja w Czechach.

(Odczyty prof. J. Bidlo).

Zaniedbaną dotychczas stronę religijną w stosunkach czesko-polskich poruszył ubocznie w 2 swoich odczytach znany historyk czeski, prof. Jaroslaw Bidlo, a że mówił po polsku nadspodziewanie poprawnie i miał przed sobą doborowe audytorjum naszej inteligiencji — przeto powodzenie było zupełne.

Prelegent słuszną zwrócił uwagę na różnice, dzielące dwa skądinąd tak blizkie i pokrewne narody — różnicę ducha i tradycji religijnej. Polska bowiem naogół — wyjąwszy Wiek złoty oświecenia — była zawsze ostoją katolicyzmu i dziś jest nią jeszcze naprzekór Europie kacerskiej lub wolnomyślnej; zaś Czechy pierwsze na naszym kontynencie podniosły sztandar Reformacji i skupione dokoła niego stawiły zwycięsko czoło zastępom cesarskim i rzymskim.

Jakoż w rzędzie wielkich reformatorów — Wiklef, Luter, Zwingli, Kalwin — Jan Huss był jedynym słowianinem, którego dzieje żywota, śmierć męczeńska na stosie, myśli i nakazy religijne stały się najświetniejszą i najdroższą tradycją narodu czeskiego. W tytanicznych bojach toczonych w obronie spuścizny Hussowej, hartowała się i krzepła enerja tego dzielnego narodu. — „Hussytyzm—rzekł zwięźle prof. Bidlo — ocalił Czechy od wynarodowienia i zagłady”. Dokoła niego skupiły się w w. XV groźne zastępy żelaznego Zyżki, o które rozbiła się do-

szczętnie nawała krzyżactwa rzymsko-niemieckiego; później, prawem kontrastu, powstała na tle hussytyzmu ta przedziwna Jednota Braci Czeskich, którzy na 400 przed Tołstojem głosili czyste chrześciaństwo, nakaz niesprzeciwiania się złu, powrót do pierwszego apostolstwa, za co prześladowano ich, jako anarchistów, antimilitarystów i wywrotowców.

Wreszcie za dni naszych dokoła imienia Hussa skupia się czeska lewica postępowa, prowadzona przez Palackych i Massaryków.

W dziejach powszechnych religji był Huss jak gdyby ogniwem pomiędzy Wiklefem i Lutrem. Reformator angielski wywarł wpływ niewątpliwy na ruch religijny czeski, któremu znów Luter zawdzięcza niejedno ze śmiałych swoich twierdzeń. Rysem znamiennym hussytyzmu był jego dziejowy charakter ośrodka jedności słowiańskiej i kuźni ducha narodowego; przeciwstawiąc się Rzymowi, ścierał się hussytyzm bezpośrednio z niemczyzną i niby granitowa tama legł w poprzek ekspansji teutońskiej. Żywioł germański przeważający ongi w Pradze, został dzięki Hussowi zupełnie wyparty ze wszechnicy, gdzie reformator piastował godność rektora; hussytyzm, idąc ze szczytów wiedzy, najtrwalszą zyskał opokę wśród ludu i drobnej szlachty, podczas gdy możnowładztwo nie przestało być katolickim, zniemczyło się doszczętnie, wyobcowało się z narodu, i dziś są Czechy, wskutek tego, narodem nawskroś demokratycznym.

Motywy religijne zaważyły, niestety, fatalnie na stosunku Polski do Czech. Kiedy bezpośrednio po śmierci Hussa, mając przeciw sobie całą potęgę germańską, zwrócili się Czesi o pomoc do Unji polsko-litewskiej, okrytej właśnie chwałą Grunwaldu, nie mógł się Jagiełło zdobyć na jawny sojusz z kacerzami, i pozbawieni poparcia z tej strony, musieli Czesi iść do boju o własnych siłach. I poszli...

Gdy wybuchła druga serja wojen husyckich, Kazimierz Jagiellończyk, nie bacząc na gniew Rzymu i opór duchowieństwa, zawarł z Czechami przymierze i wysadził na tron praski syna swego Władysława, który jednak, pod wpływem Jana Długosza, rychło poróżnił się z narodem czeskim, zbyt jawną pomoc okazując stronnictwu niemiecko-rzymskiemu, co musiało kres położyć projektowanemu zbliżeniu Polski do Czech.

Moment Unji polsko-litewsko-czeskiej, której sądzonym by było odegrać w przyszłości wielką rolę dziejową — minął już bezpowrotnie.

Raz jeszcze doszło do ścisłego kontaktu nauki Hussa z umysłowością polską. Było to w połowie XVI-go wieku, po klęsce pod Białą Górą, kiedy, uchodząc przed mściwą przemocą katolicyzmu, Bracia Czescy emigrowali tłumnie do Polski i tam, zykawszy wpływy wśród inteligencji szlacheckiej nadawali ton Reformacji, zwłaszcza po śmierci Jana Łaskiego, którego głębokich myśli — powiada prof. Bidlo — Bracia Czescy nie rozumieli, nie różniąc się tym zresztą i od Polaków. Bądź co bądź stała Jednota podówczas na szczytach postępu umysłowego i dotąd jest pamięć o niej chlubą Czech, rękojmią tradycji humanitarnych i postępowych, tak silnych i żywotnych w tym dzielnym narodzie.

Notabene, zauważyć trzeba, iż idea Braci Polskich, która zanikła w Polsce doszczętnie pod ciężarem reakcji katolickiej, odnalazła się w trzy wieki potym w Anglji i Ameryce w postaci *metodyzmu*, o czym szan. prelegent zdaje się nie wiedzieć.

Po klęsce pod Białą Górą rozpoczął się w Czechach okres bezwzględnej, bezlitosnej reakcji; germanizacja szybkie porobiła postępy. Kto nie zginął z bronią w ręku i trwał przy swojej wierze, ten musiał opuścić kraj, a dobra jego konfiskowano; opustoszały kwitnące uczelnie, zamarły miasta, upadła kultura, oświata, dobrobyt — i pod tym krwawym rygorem kropidła i miecza krzyżackiego przetrwały Czechy 200 lat.

Dopiero w wieku XVIII pierwsze powiewy liberalizmu, idąc z Anglji i Francji, zbudziły znów do życia stłumione moce duchowe Czech; odtąd datuje się szybka emancypacja tego kraju, wszechstronne jego odrodzenie i kwitnący stan obecny. W tym rzeźkim podźwiganiu się na szczyty współczesnej kultury, skupili się Czesi ponownie dokoła wielkiej postaci Hussa.

Narodowa ich historjozofja, zawarta w dziełach Franciszka Palacky'ego, za najpierwszy swój motyw uważa walkę z germanizmem i katolicyzmem, walkę uwieńczoną dziś chlubnym tryumfem na polu kulturalnej i państwowej polityki. Historjozofja Palacky'ego— na którego wpływ znaczny wywarł i nasz humanista Joachim Lelewel — jest po dziś dzień dogmatem myśli narodowej czeskiej, która bez przerwy — już na tle pojęć nowoczesnych — kontynuje wielkie wyzwoleńcze dzieło Jana Hussa.

Prelegentowi prócz poklasku za pięknie wygłoszony odczyt, należy się rzetelne uznanie za to, że tak otwarcie i szczerze ujawnił przed nam motywy rozbieżności i różnic w rozwoju obu narodów; uczynił to w tej myśli, że tylko objektywne, zupełne poznanie może być trwałą podstawą wzajemności i zażyłych między nami stosunków. W tej też myśli cała prasa warszawska — z wyjątkiem pism klerykalnych — powitała bardzo życzliwie prelekcje prof. Bidlo, poświęcając im niezwykle sumienne i szczegółowe recenzje.

Dziwny pacyfista.

Michał hr. Tyszkiewicz, jako nieodrodny dziedzic swego imienia, bardzo chętnie lokuje w papierach katolickich zapas uczuć i sił, oszczędzonych na niwie ojczystej.

Wiadomo powszechnie, że nasza arystokracja, najmniej dla kraju swego uczynna, a najbardziej może ze wszystkich wyzięblona, jałowa i bezduszna — świeci całemu światu cnotami pobożności.

Kiedy przed ośmiu laty grono naszych lordów, bawiąc na Jasnym Brzegu, między ruletką a *tir aux pigeons* przesłało do Paryża protest przeciw rozdziałowi kościoła i państwa — nikt się nadmiernie nie zdziwił.

Nie zdumiało się też i teraz Międzynarodowe Biuro kongresu Pokoju w Bernie otrzymawszy od Michała hr. Tyszkiewicza list, w którym tenże, jako prezes oddziału kijowskiego polskiego Stow. Przyjaciół Pokoju, czyni organizatorom XIX-go kongresu Pokoju w Rzymie gorzkie wyrzuty za rzekomą z ich strony chęć obrazy papieża.

„Pacyfizm winien być przedewszystkim logicznym — pisze hrabia (a ksiądz pleban prowadzi mu rękę) — Niema więc żadnych powodów do obchodzenia rocznicy wzięcia Rzymu i obwołania zjednoczenia Włoch, tak, jakby nie miał żadnych danych do obchodzenia uroczystości wzięcia Paryża i ogłoszenia w Wersalu zjednoczenia Niemiec."

Michał hr. Tyszkiewicz daje wyraźnie do zrozumienia, że dzieje powszechnie nie są mu obce; dlaczego więc omija fakt ogólnie znany, że władzę świecką Papieża zniesiono w r. 1870 na żądanie jego własnych poddanych? że państwo kościelne włączono do Włoch na mocy plebiscytu, czyli głosowania powszechnego, które było jednomyślnym aplauzem dla twórców zjednoczenia włoskiego?

I cóż to za pacyfizm dziwnego nabożeństwa, co zamiast uznać prawną i pokojową neutralność dzisiejszych Włoch w stosunku do papieża, opowiada się za nieprzejednaniem bojowym Kurji Rzymskiej, która stale odtrąca wyciągniętą ku niej dłoń?

— Pacyfizm winien być pono logicznym —

twierdzi roztargniony prezes „oddziału kijowskiego”, i popełnia *lapsus* grubego kalibru nietylko wobec historji, ale i wobec towarzystwa, do którego należy.

Oto mamy przed sobą *Ludzkość* (Nr. 1), organ Polskiego Stow. Przyjaciół Pokoju, gdzie w sprawozdaniu z walnego zebrania czytamy na str. 28-ej:

„Na wniosek d-ra Lubeckiego (uchwalono): *wziąć czynny udział w międzynarodowej wystawie Pokoju w Rzymie*, która odbędzie się w roku bieżącym”.

Teraz my z kolei powiedzmy: „Pacyfizm winien być przedewszystkim logicznym”, nie wolno mu zatym krzewić tak przeraźliwych i śmiesznych niesnasek w gronie własnych adeptów, pomijając już to, że polskie Stow. Przyjaciół Pokoju winno wystrzegać się takich wystąpień, by zasię nie powstała o nim w Europie gadka:

— Cóż to za rzesza jakaś pokojowa,
której przywodzi pan Michał z Kijowa!

Chrystus i Budda.

(Odczyt pastora Machlejda).

Sezon tegoroczny odznaczył się mnogością odczytów treści religijnej i teozoficznej, co świadczy dodatnio o budzącej się skłonności do badań tej tak zaniedbanej u nas, a tak niezmiernie ważnej dziedziny myśli. Ruch religijny nigdy nie sprzyja ustalonym dogmatom; w naszych warunkach przybiera on kształt modernizmu i wolnej myśli, co nikogo nie może dziwić. Jakoż nawet Miciński, ten „poeta chaosu”, krusząc kopje z Niemojewskim, stanął na gruncie „modernizmu”, jak stwierdził z goryczą i zawodem *Dziennik Powszechny*; nawet „błogosławiony Marjan ze Zdziechowa”, co przybieżał z odsieczą naszym klerykalistom, nawet i on, chcąc dać krzepiący obraz męża pełnego wiary, wybrał kardynała Newmana, który był jednym z pierwszych w Kościele modernistów.

Sporą frekwencją cieszyła się serja odczytów pastora Machlejda, zakończona d. 30 kwietnia wykładem o Chrystusie i Buddzie.

P. Machlejd należy do prelegentów chętnie słuchanych dla daru niepoślednej wymowy i swoistego sposobu ujmowania kwestji religijnej, sposobu, który będąc rzeczą powszednią na Zachodzie zwłaszcza protestanckim, dla nas jest jeszcze nowością.

Mimo tych zalet, p. Machlejd nie wywiązał się dobrze z zadania; końcowy jego odczyt nacechowany był bardzo już wyraźnie ową dwoistością, która nam przypomina co chwilę, że pod pozorami świeckiego prelegenta kryje się duchowny kaznodzieja; jakoż zdawać się mogło, że z poza dyrektora Szkoły im. Reja wychyla się co chwila pastor i kładzie mu dłoń na usta. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby w publicznych swoich wykładach zechciał p. Machlejd rozgraniczyć dwa swoje powołania.

Żywot i naukę Buddy, znaną publiczności polskiej z wielu prelekcji i studjów, streścił prelegent bardzo umiejętnie i zwięźle w paru punktach, z których pierwszy powiada, że życie jest cierpieniem, a drugi dowodzi, że wynika ono z jałowej żądzy szczęścia i znikomości uciech tego świata; należy zatym zmódz swoje pragnienia, uporać się z pokusą, przezwyciężyć głód życia i drogą ascezy stałej a metodycznej dojść do Nirwany, czyli do stanu nieczułości, obojętnej już na wszelkie podniety.

Czynnikiem postępowym w buddyzmie jest powszechność tej nauki: objęła ona wszystkie kasty i zdolna była wykraczać poza granice poszczególnych krajów indyjskich, by roztoczyć wreszcie swoje panowanie nad pół miljardem ludzi.

Niesłusznie jednak, przy tej okazji, wytknął prelegent starożytnemu Rzymowi brak tolerancji dla obcych bogów i wdrażanie jakiejś państwowej religii; przeciwnie, Rzym Cezarów otworem stał dla kultów najbardziej nawet egzotycznych, dla których dźwignięto wszak słynny *Panteon*; wiadomo, że wyższe koła stolicy garnęły się chętnie do syryjskich, chaldejskich, perskich, egipskich praktyk Astarty, Mitry, Kybeli, Izydy.

Tolerancja religijna tych czasów była naogół znaczna; krwawy prozelityzm, uprawiany zrazu wyłącznie przez żydów, stał się później dopiero regułą państw chrześcijańskich i muzułmańskich. Nie pora ganić pogańskich Cezarów za nietolerancję względem chrześcian (najnowsze badania dowodzą, że prześladowanie chrześcian wynikło z pobudek państwowo-policyjnych), gdy oto w encyklice z r. 1888 czytamy dosłownie: „Rozum i sprawiedliwość nie pozwala państwu popaść w ateizm, lub, co sprowadza się również do ateizmu, żywić jednakich uczuć względem różnych wyznań i udzielać im praw jednakowych”.

Wolno nie wiedzieć o tym pastorowi, ale dyrektor szkoły im. Reja powinien brać te rzeczy pod uwagę...

Słusznie wini p. Machlejd buddyzm za szerzony przezeń kult nierozumu wespół ze wstrętem do życia, czego spóźnionym echem jest filozofja Schopenhauerowska. Odstraszający istotnie przykład wpływu pewnych doktryn religijnych daje ten 300-miljonowy świat indyjski, tak niesłychanie gnuśny, bierny i apatyczny w porównaniu z wartkim pochodem Europy współczesnej.

Ale i tu należało zauważyć, że nakaz niższości umysłowej (*sacrificium intellectus*) przez 1000 z górą lat obowiązywał i w Europie pod ferułą papieską, a i dziś w niektórych krajach obowiązuje.

Lecz prelegent, zamiast zwrócić uwagę na analogje, wolał podkreślić różnice pomiędzy nauką Buddy i Chrystusa. A przecież paralela obu tych postaci byłaby tematem stokroć wdzięczniejszym i ciekawszym, ile że sama w oczy się rzuca, począwszy od szczegółów narodzin i żywota, kończąc na ich spuściźnie dziejowej. Stokroć tu więcej podobieństw niż różnic, a z tych podobieństw nie najmniejszą jest powstanie lamaizmu z jego potężną hierarchją, mnóstwem klasztorów, tonsurowanych mnichów, dzwonów, odpustów, procesji, chorągwi, monstrancji, spowiedzi...

Wbrew oczywistości, stawia prelegent chrześcijaństwo na przeciwnym od buddyzmu biegunie, jako naukę, potęgującą wartość życia, jako wiedzę jakąś „radosną”, głoszącą kult pragnień doczesnych i czynów realnych.

Jeśli Buddyzm jest negacją życia, w którym dostrzega wszędzie zarodek śmierci, Chrystjanizm, przeciwnie, nawet w śmierci szuka życia — zmartwychwstania

Podstawowa jednak różnica — i tu bez trudu zgodzić się można z szan. prelegentem — polega na tym, że Buddyzm jest nauką nawskroś ateistyczną, gdy w chrześcijaństwie tkwi głęboko idea Bóstwa, która przyczyniła się do ukształtowania jednostek, odpowiedzialnych moralnie przed Bogiem za swoje czyny, a niedorosłych jeszcze do etyki bez powinności i sankcji.

Tej zasługi nie ma Buddyzm, nauka apatji i bierności, zabójcza dla indywiduum i kształtująca *à la longue* świat typów niewolniczych, uległych, gnuśnych, umiejących raczej cierpieć i znosić, niźli działać i rządzić.

Chrystjanizm w tej postaci, w jakiej pojmuje go pastor Machlejd, jest szkołą energji, mocy i czynu, choć — jak już zauważyliśmy — w niektórych dogmatycznych swoich formach zdradza uderzające podobieństwo do tybetańskiego lamaizmu.

Zakończenie odczytu brzmiało niespodziewaną zgoła przestrogą przed prozelityzmem buddyjskim, który jakoby mnogie święci w Europie tryumfy ko-

sztem chrześciaństwa, mimo tak widocznej swojej niższości; za tę troskliwą a nadmierną czujność wdzięczne audytorjum obdarzyło pastora-prelegenta rzęsistym oklaskiem.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Na właściwej drodze.* Nie dalej jak w Nr. 15 naszego pisma, poruszając na tym miejscu sprawę polsko-rusińską w Galicji wślad za Ludwikiem Kulczyckim przyszliśmy do wniosku, że z inicjatywą pojednawczą powinni Polacy wystąpić teraz, w chwili, kiedy posiadają silne wpływy w Austrji, i że jedną z najpilniejszych potrzeb jest stworzenie odrębnego Uniwersytetu rusińskiego we Lwowie.

Wnioski nasze pominięto w prasie milczeniem.

Trzeba było dopiero znamiennej pogłoski, że z własną w tej mierze inicjatywą wystąpił rząd wiedeński, żeby wytrącić naszą prasę z dotychczasowej w tej sprawie apatji.

W jednym z ostatnich NN. *Słowa*, p. Chołoniewski, bezstronnie i spokojnie zobrazowawszy prądy w narodzie rusińskim, dochodzi do identycznych z nami konkluzji. Oto część jego wywodów:

> Rusini, bez których urządzane były stosunki kraju po bankructwie centralizmu i absolutyzmu, uczynili znaczne postępy na wszystkich polach, dostępnych młodemu narodowi. Oświata zatoczyła wśród nich szerokie kręgi, niosąc pod strzechy wieśniacze poczucie narodowej odrębności. Mają tysiące szkół, tysiące czytelń wiejskich, setki stowarzyszeń, rozgałęzioną prasę, doskonale prosperujące, a nieraz potężne organizacje gospodarcze. Niedawna wystawa w Stryju wykazała poważne rezultaty pracy, prowadzonej bez rozgłosu, poza obrębem hałaśliwych walk politycznych, na gruncie, dającym jedynie trwałe i jedynie istotne owoce. Zastęp żywiołów inteligentnych pomnożył się pokaźnie i nie jest dziś o wiele mniejszy, niż nasz w Poznańskim. W zawodach wolnych, w nauczycielstwie i w urzędach Rusini zajmują coraz silniejszą pozycję, nie mówiąc o licznym i patrjotycznie usposobionym duchowieństwie; w samym sądownictwie wschodniej części kraju tworzą blisko połowę sił, a w tej chwili w ręce ruskie przechodzi po raz pierwszy wiceprezydentura namiestnictwa we Lwowie. Z tej strony słupów granicznych nie można już mówić o „materjale etnograficznym“. To naród, młody, spóźniony kulturalnie, będący na dorobku, lecz mający już swoje zasoby, rwący się do życia, zmuszający, aby go brać w rachubę. Na szalę jego rozwoju padło głosowanie powszechne, które stwarza mu realne widoki coraz większego wpływu w Wiedniu. Przyszłość polityczna tego społeczeństwa zarysowuje się pozytywnie, jako wynik chłodnego rachunku.

Przechodząc następnie do sprawy wszechnicy rusińskiej, p. Chołoniewski odpiera zarzuty szowinistów endeckich, którzy widzą zagładę polskości w najmniejszym ustępstwie na rzecz znienawidzonych „hajdamaków”, a stworzenie rusińskiej wyższej uczelni zowią „ostatecznym tryumfem nad polską kulturą i polskim narodem”.

> Są to oczywiste majaczenia. Uniwersytet polski we Lwowie istniałby wszak dalej i kultura nasza nie byłaby ani o włos uszczuplona. Przeciwnie, moglibyśmy tylko zyskać na usunięciu chronicznego stanu zapalnego z uniwersytetu, który stałby się odtąd bezspornie i wyłącznie naszym. Wykształcenie naszej młodzieży nie straciłoby na gruntowności, gdyby odbywało się w zakładzie, w którym nie stawianoby barykad i nie popisywano się zręcznością w strzelaniu.

Najważniejszym jednak dowodem na rzecz pojednania jest niechybna pewność, że uniwersytet rusiński we Lwowie będzie istniał, nie dziś, to jutro, z nami, czy przeciw nam.

> Możemy jeszcze dziś zapewnić sobie moralne skutki faktu, iż naród, z którym nasze pożycie trwać będzie dłużej, niż fawory wiedeńskiego rządu, zawdzięczałby uzyskanie najwyższej swej uczelni naszej zgodzie i naszemu współdziałaniu. Za kilka lat może wyręczy nas — reskrypt cesarski.

Jak widzimy, sprawa ugody polsko-rusińskiej jest już na właściwszej drodze. Jakoż coraz widoczniej się staje, że dalsze jątrzenie tej opłakanej waśni przydać się może li tylko demagogom endeckim, którzy karjerę swoją we Lwowie oparli prawie wyłącznie na operowaniu straszakiem „hajdamackim”, co pozwala im bardzo tanim kosztem uchodzić za zbawców ojczyzny.

* „Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości — twierdzi *Kurjer Poranny*—że gdyby wśród dziennikarzy, literatów i polityków polskich wszystkich trzech zaborów zarządzono dla rozstrzygnięcia pytania, czy należy brać udział w rzymskim zjeździe, głosowanie ogólne — przygniatająca większość oświadczyłaby się w tym samym duchu, co i grono, któremu przewodniczy cesarsko-królewski redaktor *Gazety Lwowskiej.*

> Jesteśmy ciągle jeszcze północną prowincją Watykanu, jesteśmy nią bardziej jeszcze dzisiaj, niż przed laty trzydziestu. Nie znaczy to bynajmniej, aby większość ludzi, biorących udział w polskim życiu publicznym, składała się z osób zakamieniałych w światopoglądzie zakrystji; dogmatyczna prawowierność przekonań religijnych dałaby się stwierdzić u bardzo nielicznej garstki jednostek najmniej znaczących talentem i wpływem. Jesteśmy „watykańscy“ tylko przez tradycję i przez politykę.

Trudno dziwić się zawodowej niechęci kleru do Włoch zjednoczonych, ale trzeba być doszczętnie wyzutym z niezależności myśli, aby tę niechęć podzielać.

> Rok siedemdziesiąty otworzył kulami dział generała Cadorna przejście przez Porta Pia. Tej katastrofie jednak nie był winien nic rok, którego wielką i piękną dziejową pamięć święci współczesna Italja. Polaków nie powinnoby braknąć przy tym obchodzie, który jest wspaniałym wskazaniem, że miłość wolności i miłość ojczyzny tworzą w dziejach cuda. Odsunięcie się Polski przez serwilizm dla despotyzmu duchowego czynników kościelnej reakcji jest zarówno zasmucające z punktu widzenia polityki, jak i niedorzeczne z punktu widzena tradycji katolickiej, która w wypadkach z przed pół wieku daremnie dopatrywałaby się jakiejkolwiek rzeczywistej obrazy.

Z prasy rosyjskiej.

* Jak już wiadomo, *Now. Wrem.*, zachęcone świeżą serją sukcesów, odniesionych w Moskwie nad „intrygą jezuicką”, rozpuściło zagony prywatnych swoich detektywów po Newskim Prospekcie, gdzie kościół św. Katarzyny. Wskutek tych rewelacji władze wdrożyły śledztwo w obu gimnazjach, istniejących przy tym kościele; nic podejrzanego nie wykryto. Obecnie *Riecz* w sposób stanowczy zbija twierdzenia *Nowego Wrem*, okazuje się bowiem, że:

> Oskarżenia, że uczący się podlegają wpływom propagandy katolickiej, są nonsensem, gdyż wszyscy uczniowie bez wyjątku są katolikami i wśród uczniów nigdy nie było wychowańców innych wyznań.
>
> Oskarżenia o polonizację również nie potwierdzają się, gdyż wszystkie wykłady prowadzone są w języku rosyjskim, według i programów ministerjum oświaty i według planu zatwierdzonego przez okręg naukowy. Język i literatura rosyjska są, rzecz prosta, przedmiotami obowiązkowymi, zaś język polski, litewski i łotewski wykładane,

są fakultatywnie dla życzących sobie tego, przyczym nie pozwala się uczyć dwóch języków z tej grupy nieobowiązkowej, uczniowie zaś, nie wykazujący postępów należytych z przedmiotów obowiązkowych, nie mają prawa uczęszczania na wykłady przedmiotów nadobowiązkowych. Co się zaś tyczy religji, to wykładana jest ona w pięciu językach: polskim, litewskim, łotewskim, niemieckim i rosyjskim; przy przyjmowaniu uczniów rodzice obowiązani są oświadczyć w jakim języku dzieci ich mają się uczyć religji.

Że charakterowi gimnazjum obcy jest duch narodowy, świadczy o tym skład nauczycieli, pośród których jest 8 Rosjan prawosławnych, 2 Francuzów, 5 Białorusinów, 6 Litwinów, 1 Łotysz i 8 tylko Polaków.

Również zupełnie nieprawdziwe są wiadomości o tym, jakoby w gimnazjum dokonano rewizji, nie było również rewizji w bibljotece, ani nie badano nikogo z uczniów.

Riecz, organ postępowy i wolnomyślny, zawsze ujawniał względem sprawy polskiej sympatję i sprawiedliwość, kosztem niekiedy własnej w środowisku rosyjskim popularności.

Dziś nie waha się oto stanąć w obronie katolicyzmu, w imię tolerancji i humanitaryzmu, w imię tych „pryncypiów liberalnych" z których tak chętnie i tak... bezmyślnie natrząsają się nasi nacjonaliści i zachowawcy.

Korzystając w tej chwili skwapliwie z odsieczy ze strony liberalnych „pryncypiów", tylokrotnie i tak wszechstronnie przez się spotwarzanych, wspomniane zespoły stają przed opinją publiczną w nieszczególnym świetle.

KRONIKA.

USTAWA O MARJAWITACH. Komisja wyznaniowa Izby zaakceptowała rządowy projekt ustawy o wyznaniu marjawickim, poczyniwszy w nim niektóre zmiany. Legalizację tej sekty, czyli raczej nadanie jej praw odrębnego kościoła narówni z innymi chrześcijańskimi wyznaniami, komisja usprawiedliwia tym, że „w ostatnich czasach związek marjawitów otrzymał prawidłowy ustrój hierarchiczny, albowiem przywódcy związku, wszedłszy w łączność z kościołem staro-katolickim Europy Zachodniej, przyjęli od hierarchów tego kościoła święcenia na biskupów".

Wobec tego komisja przyznała marjawitom prawo prowadzenia osobnych ksiąg metrycznych, które w Królestwie mają podlegać przepisom kodeksu cywilnego z roku 1825, a w Cesarstwie przepisom, które ustanowią ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Sprawy o unieważnienie małżeństw i separację mają podlegać duchownym sądom marjawickim, gdyż „marjawici zachowali poglądy Kościoła rzymsko-katolickiego na małżeństwo i jego nierozerwalność, oprócz wyjątkowych wypadków". Dziś, jak wiadomo, sprawy o rozwiązanie małżeństw marjawickich rozstrzygają sądy cywilne, albowiem marjawici nie mają sądów duchownych, które im ustawa zapewnia. W nowej ustawie przyznano marjawitom także prawo posiadania własnych biskupów, których na stanowiska zatwierdzać będzie Monarcha na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych, podobnie, jak są zatwierdzeni generalni superintendenci ewangeliccy i mułłowie mahometańscy. Wreszcie ustawa znosi dla marjawitów dotychczasową nazwę „sekty". Księża marjawiccy zostają zwolnieni od powinności wojskowej i otrzymują paszporty od policji; zatwierdzać ich na posadach będzie generał-gubernator, zaś w Cesarstwie gubernatorzy. Wreszcie wyznaniowe gminy marjawickie posiadać będą każda osobną ustawę, zatwierdzoną przez ministrów spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Od księży marjawickich wymagana będzie przysięga na wierność Monarsze.

ZGON. Z Florencji nadeszła wiadomość, że zmarł tam znany pisarz Stanisław Leopold Brzozowski.

Urodził się w r. 1876 w Wojsławicach, gub. lubelskiej; do gimnazjum uczęszczał w Lublinie, w Warszawie był na wydziale przyrodniczym. Prowadził głośną w swoim czasie kampanję przeciw Sienkiewiczowi, napisał szereg studjów i rozpraw, powieść p. t. „Wiry", szereg feljetonów bieżących, oraz sprawozdań teatralnych.

W r. 1903 jego trzyaktowy dramat p. t. „Mocarz" został nagrodzony na konkursie łódzkim im. Sienkiewicza i wystawiony na scenie Rozmaitości bez większego powodzenia.

Wydał też studjum o Wyspiańskim. W r. 1907 zebrał swe większe studja literackie i filozoficzne i wydał je w jednym tomie p. t. „Kultura i życie". W następnym roku ogłosił dwutomową powieść p. t. „Płomienie". Przed dwoma laty we Lwowie wyszła jego głośna praca: „Studja o strukturze duszy kulturalnej" p. t. „Legenda młodej Polski".

Jedno z pism partyjnych oskarżyło Stanisława Brzozowskiego publicznie o szpiegostwo. Głośna ta sprawa roztrząsana była dwukrotnie na sądzie partyjnym, zwołanym na żądanie Brzozowskiego.

Ostatnią pracą Brzozowskiego było wydane w roku zeszłym większe dzieło p. t. „Idee" (wstęp do filozofji dojrzałości dziejowej).

JUBILEUSZ ALEKS. KRAUSHARA. W miesiącu ubiegłym przypadał jubileusz działalności pisarskiej zasłużonego historyka, publicysty i literata, Aleksandra Kraushara.

Urodzony w Warszawie 1843 r., po ukończeniu Szkoły Głównej ze stopniem magistra, został obrońcą przy Senacie, a od r. 1876, po reformie sądownictwa, mianowany został adwokatem przysięgłym w Warszawie.

Poza zajęciami swego fachu, od najmłodszych lat gorliwie poświęcał się nauce historycznej, literaturze i publicystyce. W roku 1863 brał udział w wydawnictwie, redagowanym wspólnie z Sabowskim, p. t. *Prawda*. Rozpoczął, jak wielu literatów, od poezji, napisał parę poematów i wydał przekład swój liryk Heinego. Właściwym przecież polem jego działalności pisarskiej były prace historyczne. Skreślił szereg monografji historycznych, jak „Czary na dworze Batorego", „Przyczynki do życia Olbrachta Łaskiego", „Książę Repnin i Polska", „Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego", „Frank i Frankiści", „Dzieje Tow. Przyjaciół nauk" i inne.

Drugim polem jego działalności było badanie starożytności i zabytków narodowych. Wiele prac źródłowych, artykułów, wspomnień było owocem tych badań. Zwłaszcza „Stara Warszawa" była najczęściej ich przedmiotem. Poświęcił jej około trzydziestu prac większych i mniejszych, w których przedstawił obraz Warszawy i jej społeczeństwa w końcu 18 wieku. Wydał dalej „Nowe epizody z życia Paska, albo Pamiętnik J. U. Niemcewicza".

Mąż ten wiedzy szerokiej i pracowitości wyjątkowej, należy do wielu polskich ciał naukowych, i pożyteczną swą działalnością, skierowaną ku poznaniu naszej przeszłości, położył dla społeczeństwa duże zasługi.

Koło literatów i uczonych postanowiło uczcić jego zasługi obchodem, który się odbył niedawno. Jubilatowi wręczono adres w pięknej, artystycznie wykonanej, szacie, gdzie złożyli swe podpisy przedstawiciele kół literackich i naukowych. Następnie wieczorem odbyła się uczta na cześć jubilata, w której wzięli udział przedstawiciele nauki, literatury, sztuki oraz adwokatury. Uczta odbyła się w hotelu Bristol.

OFIARA. Pięknym i obywatelskim czynem postarała się upamiętnić pani Zofja z Pohowskich Edwardowa Kluge pamięć zmarłej swej siostry, Aleksandry z Pohowskich Bernerowej.

Oto pani Kluge ofiarowała Towarzystwu naukowemu warszawskiemu rubli pięćdziesiąt tysięcy jako fundusz wieczysty imienia Aleksandry z Pohowskich Bernerowej.

Kwota rzeczona złożona została za pośrednictwem d-ra Władysława Janowskiego w 4½ proc. listach zastawnych Tow. kredytowego ziemskiego.

Pani Kluge jedną połowę odsetek tego kapitału przeznaczyła na potrzeby bieżące Tow. naukowego, drugą zaś na potrzeby bieżące instytutu biologicznego.

Jak wiadomo, ten ostatni wkrótce powstanie przy Tow. naukowym warszawskim.

Ta ofiara łącznie z ofiarowaniem przez hr. Józefa Potockiego domu, wartości 200,000 rb. tudzież innymi kwotami, które również tytułem ofiar wpłynęły, coraz bardziej utrwalają byt Tow. naukowemu warszawskiemu.

SPRAWA MUZEUM W RAPPERSWILU. Wślad za Stefanem Żeromskim wystąpił z szeregiem wyjaśnień w smutnej sprawie Rapperswilskiej pułk. Z. Miłkowski (T. T. Jeż); udowodniwszy słuszność zarzutów, wytoczonych przeciw skandalicznej gospodarce dzisiejszej Rady, czcigodny pisarz kończy temi słowy:

„Gazeta Warszawska" w relacjach o walce tej powinna była być ostrożniejsza: nie insynuować żadnych ludziom uczciwym i honorowym, jakimi byli wszyscy bibljotekarze nasi, pretensji, antagonizmów, nie wtrącać, niby Piłatów w *Credo*, osób, nie biorących w walce rzekomej udziału najmniejszego, jak dr. Gierszyński, nie prawić o cnotach i zasługach zapoznawanych, nie zarzucać kłamstw powagom tej miary, co Stefan Żeromski, z którym nie jestem w stosunkach przyjaznych, któremu mam za złe kierunak idejowy, jaki pracy swojej literackiej nadał, ale który, jak nie kłamie rzeczowo na stanowisku w literaturze przezeń zajętym, tak nie skłamałby w żadnym razie i w żadnym względzie. Nie winszuję *Gaz. Warsz.*, która się podobnej dopuściła insynuacji.

Nie wiem, jak się przezemnie — nie żyda, nie socjalistę, ani pragnącego osobiście takiej lub innej prezydentury, dyrektorji, dystynkcji człowieka — wywołana sprawa rapperswilska rozstrzygnie obecnie; wiem jednak, że w rozpatrzeniu się w niej i rozstrzygnięciu na razie udział wziąć powinna, w poważnym przedstawicielstwie swoim, opinja publiczna krajowa.

Pożądanym się stało bowiem nad jawnymi posterunkami polskimi zagranicą, jakimi są takie, jak szkoły, bibljoteki i muzea, instytucje kulturalne — *czuwanie poważnego przedstawicielstwa krajowego.* Tego rodzaju instytucje posiadamy w Europie dwie, w środowiskach, w których się młodzież polska akademicka i artystyczna gromadzi: w Paryżu i w Rapperswilu — obie bardzo, koniecznie, potrzebne.

Oby to krajowa opinja publiczna zrozumieć i do serca wziąć zechciała!

Z. Miłkowski.

„ZJEDNOCZENIE", stowarzyszenie postępowej młodzieży polskiej w Dorpacie wybrało na członków honorowych: Aleksandra Świętochowskiego, Ludwika Krzywickiego i prof. uniw. Dorpackiego Bolesława Hryniewieckiego.

Notatnik wydawniczy.

Ster. Treść zeszytu IV: Polki tam być powinny! M. Gierżabkowej. — O Serbkach, Róży Winawerowej. — W imię prawdy — słów kilka, E. Wielowieyskiej. — Prawo kobiet do udziału w samorządzie, P. W. — Obywatelski wiec kobiet, R. L. — Korespondencja z Petersburga, R. Baudouin de Courtenay. — Związek równouprawnienia kobiet polskich: Sprawozdanie z IV Dorocznego zebrania, Zarządu, Oddziałów: z Radomia, Kijowa, Lublina, Płocka, Petersburga. — Moda jako zjawisko społeczne, E. W. — Głos kobiet. — Ostatnie autokratyzmy— i serwilizmy ostatnie, spr. P. K. — Komunikat Komitetu Jubileuszowego. — Dzień kobiet, N. T. — List do Redakcji, Melanji Bersonowej. — Przegląd prasy równouprawnienia. — Dary. — Książki nadesłane do Redakcji. — Odpowiedzi Redakcji. — Od Administracji. — Ogłoszenia. — Dodatek powieściowy: Kobiety, które wołanie dosłyszały.

Otrzymaliśmy czwarty, kwietniowy zeszyt **Miesięcznika literackiego i artystycznego** wychodzącego w Krakowie pod redakcją d-ra J, H. Retingera. Zawiera on następujące prace: „Tragedja florencka" Oskara Wilde'a w przekładzie Wacława Rogowicza; „Zachód", „Wieczór jesienny" (poezje) M. Smolarskiego: „Wspomnienie" przez Marję Znatowiczównę; „Jak było dawniej" (ciąg dalszy) przez Władysława Orkana; „Chimera" i „Szmaragd" (poezje Alberta Samaina, w przekładzie Zuzanny Rabskiej) „Szalejący Herakles" przez Mieczysława Limanowskiego; „Gaspard de Nuit" przez Aloyzjusa Bertranda w przekładzie Henryka Grzegorza); „Mgły" Emila Verhaerena, przekład Ed. Ligockiego; „Ciasna brama" powieść Andrzeja Gide'a (ciąg dalszy), w przekładzie Juljusza Germana; „O teatrach warszawskich" przez Bolesława Prawdzica; „Skrzynka literacka (sprawozdanie krytyczne) przez E. L. I.; Przegląd czasopism; „Mangha" (tom drugi, ciąg dalszy) przez Feliksa Jasieńskiego. Dodatki artystyczne (reprodukcye obrazów): „Akt kobiecy", „Portret p. W.", „Za oknem", „Przy stole", „Kazanie w kościele Dominikanów", „Pejzaż zimowy" W. Weissa.

Książki nadesłane do Redakcji:

Bogusław Adamowicz: „Tajemnica długiego i krótkiego życia". Warszawa. Gebethner i Wolff. Cena rb. 1.

T. Jaroszyński: „Dobra Krew" — powieść. Warszawa 1911. Orgelbrand i S-owie str. 142.

Jerzy Żuławski: „Stara Ziemia", powieść, nakładem G. Gebethnera i Spółki w Krakowie, Warszawa, Gebethner i Wolff 1911, 8-ka, str. 290. Cena rb. 2 — „Stara Ziemia" jest trzecią częścią tryologji, której pierwsze dwa ogniwa stanowiły powieści: „Na srebnym globie" i „Zwycięzca".

Zygmunt Bartkiewicz: „Złe miasto". Warszawa, 1911, Str. 84.

M-ka Rudowska: „O ewolucji miłości" 2 odczyty: Instynkt czy uczucie — Kobieta wobec miłości. Warszawa, 1911, str. 96. Wydawnictwo Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia Kobiet.

Dr. Fr. W. Foerster: „Etyka płciowa i pedagogika", przekład J. J. Rapackiego, Warszawa, Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa, 1911, 8-ka, str. IX+211. Cena rb. 1.

Marja Rodziewiczówna: „Atma", powieść, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, 1911, 8-ka, str. 285. Cena rb. 1,30.

Józef Konczyński: „Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej". Warszawa, 1911, Cena rb. 1 kop. 30. Str. 190.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P-stwu Drabczykom. Aczkolwiek dla osób bliżej znających nasze stosunki szkolne, artykuł p. u. „Wilczy dół" nie mógł pozostawiać wątpliwości co do przedmiotu i osób w nim poruszonych, nadmieniamy niniejszym, że pisząc go, mieliśmy na uwadze szkołę p. Wojciecha Górskiego. Powrócimy jeszcze do tej sprawy niebawem.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8,z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.